

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

ISSN 1733-5507



# naddłubniańskie pejzaże



**KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Nr 1-2 (33-34) 2013**

• **Nad Dłubnią** • Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Michałowickiej



**W NUMERZE:**

- MICHAŁOWICKIE DWORY W ALBUMIE FOTOGRAFICZNYM
- HISTORIA MICHAŁOWICKIEJ ZIEMI W INNYCH WYDAWNICTWACH

- KRONIKARSKIE ZAPISKI Z TERENU GMINY MICHAŁOWICE
  - Mariana Dziwisza
  - Janiny Sienko
  - Teresy Bednarczyk
  - Słowo o KRONIKARZACH WIEJSKICH

[www.michalowice.malopolska.pl/spzm/](http://www.michalowice.malopolska.pl/spzm/)



(...) Nie ma domu, ale ty go widzisz, kiedy przymkniesz oczy. Idziesz oto z góry, z pokoju babci i przez swój pokój schodami do korytarzyka. Przechodzisz przez mały pokoik, gabinet, jadalny, zaglądasz na chwilę do kuchni... I dalej przez przedpokój do salonu i do sypialni rodziców. Wracasz przez werandę, stajesz chwilę na tarasie i patrzysz na róże wokół trawnika, kępy floksów, klomb na środku gazonu, a potem wolno, wolniutko idziesz ścieżką koło pagórka, zbiegasz po kamiennych schodkach, ułożonych przez wujka, i przez liliową od dzwonek łączkę, obok wielkich topoli – do kąpieli. Za tobą biegną psy, a wszystko oświetla słońce... Było tak kiedyś naprawdę czy tylko się śniło?

Tymi słowami, autorstwa Danuty Koral, rozpoczyna się piękny album – fotograficzna opowieść o małopolskich dworach – tych istniejących wciąż, ale także i o tych, które niestety zniknęły już z powierzchni ziemi – utrwalonych w archiwalnych fotografiach, zgromadzonych przez autorkę tego wyjątkowego opracowania, Marzannę Raińską.

Z radością odnotowujemy, że we wspomnianym albumie, znalazły się fotografie i rysunki dworów z terenu gminy Michałowice, przedstawione i omówione wcześniej na łamach „Naddłubniańskich Pejzaży” – stanowiąc podstawę do skonstruowania o nich notatki w *DWORY MAŁOPOLSKI w FOTOGRAFII ARCHIWALNEJ* – pozycji księgarskiej, wydanej przez Wydawnictwo Graf\_ika, Warszawa 2013.



„Nad Dłubnią” Stowarzyszenie Przyjaciół Ziemi Michałowickiej



32-091 Michałowice, ul. Jana Pawła II 1  
tel./fax 12 388 50 16

www.michalowice.malopolska.pl/spzm/  
Konto: 80 8589 00060180 0010 0162 0001

W przeświadczeniu o tym, że przedstawioną poniżej „opowieść o czasach i ludziach”, autorstwa Mariana Dziwisza – ongiś mieszkańca „Michałówki” – odnieść można do podobnych wspomnień mieszkańców z terenu całej gminy Michałowice oraz mając nadzieję, że wielu czytelnikom pomoże poszybować myślą w miniony czas dzieciństwa czy młodości.... Im właśnie dedykujemy ten obszerny, niezwykle bogaty w interesujące szczegóły obyczajowe, autoryzowany tekst.

Redakcja

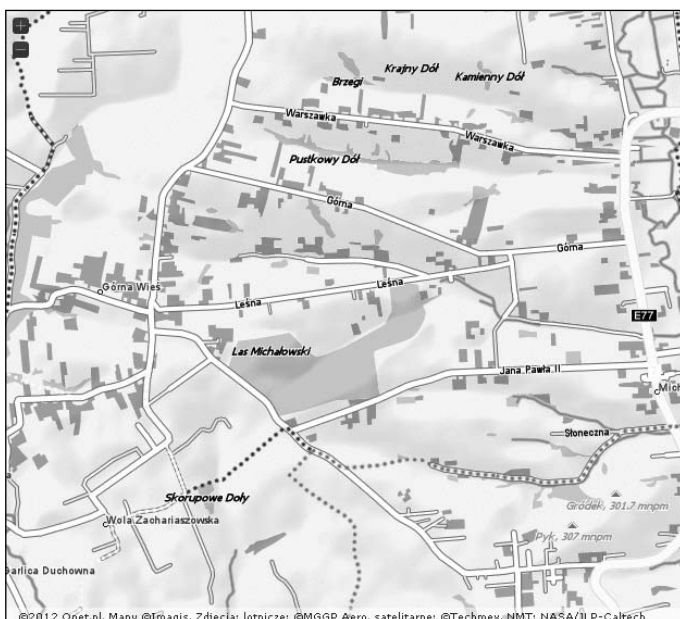
# NOCE i DNI... na MICHAŁOWICKIEJ ZIEMI...

## czyli – opowieści spod Michałowskiego Lasu

### Michałówka

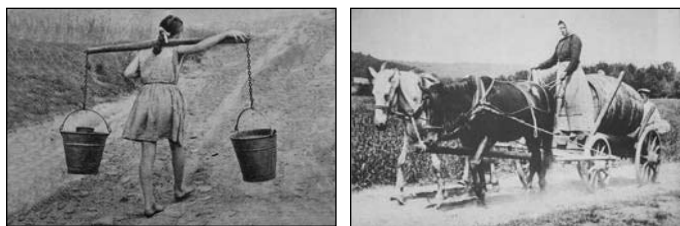
Piętnaście kilometrów od Krakowa, a ściślej – od Witkowic, z których przez Marszowiec, drogą polną biegnącą wśród pól do Woli Zachariaszowskiej przez Górną Wieś, obok stawu rozlanego pomiędzy zabudowaniami Skwarów z Górnej Wsi, Lusinów z Michałówki i Adolczycki, której gospodarstwo było położone na klinie, pomiędzy dwoma drogami – jedną, stanowiącą niejako trakt prowadzący aż do Naramy i Kozierowa i drugą, prowadzącą do dwóch studni i łączącą się z tą pierwszą pod Majami, tyle tylko że trudną do przebycia, gdyż za zabudowaniami Bubki, prowadziła w głąb jaru i później ostro pod górę, mijając domy Jurkowskiego i Formickich. U szczytu drogi mieszkała rodzina Kowalów – Czerwów, po lewej zaś Gryglików. Obie drogi – jak większość w okresie międzywojnia i aż do lat siedemdziesiątych minionego wieku – były drogami błotnymi, wijącymi się często w wąwozach, tym samym więc, prawie nieprzejezdnymi w okresach deszczowych. Wioska położona była na pagórkach, z których rozciągał się obraz rozległych okolic – na zachód, ponad owczarskim lasem aż po Owczary, na północ po Naramę, na wschód aż po Łuczyce; wschodnio-południowy widok zamknięty był lasem, zaś południowy, na Kraków – ograniczony pagórkowatym grzbieciem, oddzielającym Michałówkę od Woli Zachariaszowskiej, Górnej Wsi, a szczególnie od jej przysiółka Zakojców. Południową ścianę wioski zamykała także droga, odbiegająca od byłej komory celnej – znajdującej się między Bibicami, a Mi-

chałowicami, pomiędzy zaborami rosyjskim i austriackim – wzdłuż Michałowskiego Lasu do Górnej Wsi. Tu, rozgałęziała się – jedna jej odnoga biegła (i biegnie) obok starej granicy na Zakojce i w dół pomiędzy Garlicą Duchowną, należąca kiedyś do Galicji, a Garliczką – należąca do Kongresówki. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r., powstały od niej dwa odgałęzienia: w kierunku Krakowa przez Wolę Zachariaszowską; druga odnoga – prowadziła w kierunku Kozierowa i Naramy, przy czym pomiędzy domem Grzesikowskich, a zabudowaniami Warszawskich, rozgałęziając się w głąb Górnej Wsi, zbiegała stromo do wąwozu, łączącego Garliczkę z Owczarami. Pierwsza z nich, to bardzo stara droga, służąca w okresie zaborów, głównie rosyjskiej konnej straży granicznej. Równoległe do niej widać się ścieżka, na której posadowione były graniczne kurhany, znaczone – jak wieść niesła – słomianymi wiechami. W szczytkowej formie, niektóre z kurhanów przetrwały do lat siedemdziesiątych. Po stronie Kongresówki nie zachowały się (bądź też ich zupełnie nie było), żadne inne ślady graniczne – okopy ani umocnienia. Za to po stronie austriackiej, w odległości paru kilometrów od granicy, w kierunku Krakowa, zachowały się solidne fortyfikacje: w Węgrzcach i na Marszowcu. Tutaj, przy drodze z Bibic do Zielonek, istnieje dotąd także betonowy bunkier z okresu II wojny światowej. Na pograniczu Bibic i Michałowic, w miejscu, w którym Legioniści przekraczali granicę zaboru rosyjskiego, po lewej stronie szosy warszawskiej, w kierunku Warszawy – postawiono pomnik upamiętniający to wydarzenie; po prawej – duży drewniany krzyż. Mówiono, że w czasach zaborów, przez granicę przemycano z Galicji do Kongresówki bobkowe liście (liść laurowy), angielskie ziele i inne przyprawy; z Kongresówki zaś do Galicji – tytoń, zarówno w liściach zapakowanych do worków, jak też już pokrojony, gotowy do użycia. Pagórki Michałówki, porośnięte tu i ówdzie zagajnikami, przecinały głębokie wąwozy i parowy, potocznie nazywane dołami. Najbardziej znane z nich, to Pustkowy Dół i Krajny Dół. Najdłuższy z nich, zwany Małym Krakowem, ciągnął się od źródlanej doliny aż do warszawskiej drogi w Michałowicach. Przemierzając go, szło się jakby śladami dawnego pramorza. Na zboczach ubogo porośniętego wąwozu, znajdowało się morskie muszelki i liczne okrzemki. W źródlanej dolinie były dwie studnie. Ta po lewej stronie drogi, prowadzącej w kierunku Naramy–Kozierowa, należała do Górnej Wsi, ta po prawej – do Michałówki. Nad nią rozciągało się wzgórze, na którym stały zabudowania Derdasiów, zaś u jego pod-





Żuraw studzienny przy byłej studni, po stronie Górnej Wsi (fot. – 2013)  
Przy studniach stały żurawie i koryta do pojenia krów. Przez cały rok, codziennie, ludzie chodzili po wodę, z zawieszonymi na ramionach nosidłami.



Nosidła na wodę.

Wóz z beczką na wodę.

nózy często pulsowały mniejsze źródła, tworzące potok przepływający przez Mały Kraków i wpadający w Michałowicach do Dłubni.

Ci, którzy mieli konie, jeździli z beczkami umieszczonymi w dwukółkach lub na wozach. Zimą, wożono wodę na saniach i sankach, latem – aż do późnej jesieni – ci, co mieli bliżej do stawu, poili w nim bydło, innym bliżej było z bydlęm do studni.

Woda w studniach była krystalicznie czysta – w upalne lato tak chłodna, że aż cierpły zęby. Na przełomie lat 60. i 70., postanowiono w wioskach założyć wodociągi. Przeprowadzono badania wydajności źródeł obu studni. Okazała się zbyt niska, by zasilić zaplanowany, rozległy wodociąg – poprowadzono więc wodę ze źródeł rzeczki płynącej przez Garlicę. Studnie zlikwidowano, budując asfaltową drogę, biegnącą tuż przy domostwach – granicą pomiędzy Górną Wsią, a Michałówką. I tak, wewnętrzna niegdyś dróżka, stała się drogą główną, łączącą Koźmierów, Naramę, Górną Wieś, Wołę Zachariaszowską – przez Garlicę, Podskale i Zielonki – z Krakowem. Przy okazji zasypano głęboki jar za Bubką. Odcinek dawnej drogi głównej, prowadzącej polami Górnej Wsi, od stawu pod Majami – zaczął się przekształcać w drogę polną. Staw zasypano, tworząc plac pod pętlę dla autobusu podmiejskiego. Na skwerku przed stawem, zbudowano niewielki parterowy budynek, który początkowo pełnić miał funkcję świetlicy, ale później urządzono w nim sklep wielobranżowy. Po śmierci Adolczycki, rozebrano jej domostwo, a na Gryglikowym polu, które jak wyspa łączyło kiedyś obie drogi – od Adolczycki aż po źródlaną dolinę – najpierw posadzono sad z dominacją czereśni, a później młody Miska zbudował nowoczesną zagrodę.

Ziemia w okolicy była uboga, dominowały gliny, naszpikowane margłowymi kamieniami, które – poza drem-

nem – stanowiły wówczas jedyny budulec. Widziało się go w podmurówkach domów. A niekiedy – jak domu Fundamentów – powstawały z niego całe budynki. Przy każdej orce, płaskie kamienie wydobywano z ziemi, układano w kopczyki i wywożono.

Początkowo sadów i ogrodów było niewiele. Zwykle parę owocowych drzew wokół domu – najczęściej śliwy, półdzikie wiśnie, jabłonie i grusze. Tylko u Lusinów sad posiadał bardziej szlachetne odmiany. Największym bogactwem dla wioski był Michałowicki Las, z którego pozyskiwano chrust i drewno na opał, zbierano grzyby, borówki i ostrężyny. Zajeżdżał tu czasem i zatrzymywał się tabor Cyganów. W lesie znajdowały się rowy strzelnicze i okopy z czasu wojny.

## Genealogia – linia Matki

Podobno miała mieć na imię Genowefa, ale na chrzcie dano jej Eugenia... Mówiono do niej Gienia, Gienka. Urodziła się w kwietniu 1920 roku, w domu na Michałowce. Jej matką była Maria z Nurków na Zakojcach, która miała dwóch braci i siostrę. Wicek ożenił się, zbudował gospodarstwo na Górnej Wsi – przy zbiegu dróg z Komory i Naramy, prowadzącej ku Zakojcom i Woli Zachariaszowskiej. Siostra Tekla – wyszła za mąż za Skwarę i zamieszkała w Górnej Wsi, przy drodze prowadzącej w dół do Garliczki i Owczar. Ona – wyszła za mąż za Piotra Zasadę i przeprowadziła się do jego domu w Michałowce, sąsiadującego z Rosami. Urodziła trzy córki: Gienkę, Walerkę i Zuzkę. W 1930 roku zmarł jej mąż i został pochowany na cmentarzu w Naramie. Pozostała więc z nieletnimi córkami, ośmiomorgowym gospodarstwem, wielką stodołą i drewnianym domem, podzielonym sienią na dwie części. Po jednej stronie znajdowała się wielka izba po drugiej obora. W pracach na roli pomagał jej brat Wicek. Najstarsza z córek, Gienka miała wtedy zaledwie 10 lat. Kiedy dziewczyny trochę podrosły, posłała jej do szkoły na Wołę Zachariaszowską, w której każda ukończyła czteroklasówkę. Więcej klas w tej szkole nie było. Po ukończeniu nauki, Walerka poszła na służbę do dworu w Garlicy Murowanej. Z tego okresu pozostało jej na całe



XVIII-wieczny drewniany kościół w Naramie (spłonął w 1980 r.) – Marian Kornecki – *Sztuka sakralna*, Kraków 1993.

życie przyzwyczajenie, zwracania się do innych „trzecioosobowo” – brzmiało to zabawnie, gdy zwracając się, np. do Józka, pytała: Gdzie Józek był... i co tam Józef robił? Do starszych od siebie, zwracała się przez wy – nawet do własnej matki.

Gdy Gienka osiągnęła dorosłość, we wsi pojawił się Stefek, który gontem pokrywał dach na kościele w Naranie i stawał przy nim dzwonnice.

Mieszkał w tym czasie u kogoś, niedaleko kościoła. Obserwował dziewczyny przychodzące do kościoła i spodobała mu się siostra Gienki – Zuzka. W którąś niedzielę, po sumie zaczął ją i odprowadził pod dom. Tam poznał jej siostry. Chciał się żenić z Zuzką, ale była jeszcze zbyt młoda. Nie mogła także, jak to się mawiało – „przesadzić za drabinkę starszej”, czyli wyjść przed nią za mąż.

Tak więc lipcu 1940 roku ożenił się z Gienką, która dostała w posagu dwie morgi pola – 15-to metrowy pas ziemi, sąsiadujący z polem Fundamentów, rozdzielony na dwie części głębokim parowem, porośniętym po obu stronach zagajnikiem, czyli tak zwanymi dołami. Po stoku nachylonym na północ, nie można było spodziewać się dobrych plonów, ze względu na niedostatek słońca.

## Linia ojca

Urodził się 30 stycznia 1915 roku w Zagórzycach Dworskich w domu Franciszki i Feliksa. Rodzina wywodziła się ze schłopiałej po powstaniu styczniowym szlachty.

Dziadek Feliksa miał jeszcze majątek, ale walczył i zginął w powstaniu. Na majątek władze carskie nałożyły kontrybucję. Na część ziemi – zgodnie z nakazem carskim – uwłaszczono chłopów. Bracia rozpiechli się po Polsce. Jeden z nich – Wawrzyn, powędrował do Galicji, do Krakowa, tu założył jakiś interes i podobno całkiem dobrze mu się powodziło. Po śmierci spoczął w grobowcu na Cmentarzu Rakowickim. Dwóch – pozostało w Zagórzycach i podzieliło się pozostałą ziemią. Stefan jednak, poza Wawrzynem, nigdy nie wspominał ani ich imion, ani imienia swojego dziadka. Ojciec Stefana – Feliks, mając 35 lat zmarł na skręt kiszek i został pochowany na parafialnym cmentarzu w Więclawicach. Pozostawił sześcioro dzieci: Józka, Andrzeja, Stefka, Staszka, Władkę i Józkę. Ziemię i gospodarstwo w Zagórzycach, dostał najstarszy syn Józek, bo też on po śmierci ojca musiał zaopiekować się rodzeństwem. Przed wojną ożenił się i miał jedyną córkę – Emilkę. Matka zadbała, by dzieci ukończyły sześciolletnią podstawówkę. Na dalsze kształcenie nie było środków. Stefek, po podstawówce ukończył jeszcze szkółkę ogrodniczą na Węgrzcach k/ Krakowa. Był pojętny, więc przyswoił sobie jeszcze inne zawody. Przy ojcu nauczył się stolarki i ciesielki.



Powstańcy w lesie – rys. W Radzikowski.

Odziedziczył też po ojcu bogato wyposażony warsztat stolarski, który przywiózł później na Michałowkę. Andrzej ożenił się w Michałowicach z Adelfą. Był chorowity. Pozostawił po sobie dwie córki Reginę i Ja-



Warsztat stolarski.

dwigę. Staszek, Władka i Józka wynieśli się do Krakowa. Władka wyszła za mąż za Karola Siwka i długo mieszkała na ulicy Limanowskiego 12 na pierwszym piętrze nad masarnią w dużym trzypokojowym mieszkaniu z ogromną kuchnią, w której Karol miał warsztat stolarski, ona zaś była kucharką w Szpitalu Kolejowym. Siwkowie mieli trójkę dzieci: Mariana, Krzyśka i Wandę. Józka wyszła za mąż za Lisowskiego i mieszkała również w Podgórzu na ul. Rękawka. Mieli syna Ryśka. Staszek zamieszkał wraz z żoną na ul. Limanowskiego 10; pierwsza żona zmarła dość szybko i osierociła dzieci: Kryśkę, Mirka, Romka, Zośkę. Ożenił się więc po raz drugi.

## Niezupełnie na swoim

Stefan, po ślubie, jako jedyny mężczyzna w rodzinie zajmował się całym gospodarstwem. Mając zamiłowanie do ogrodnictwa, założył przy domu sad, w którym nasadził najbardziej szlachetne odmiany drzew owocowych: czereśni, wiśni, jabłoni, grusz i śliw węgierek. Przywiózł z Zagórzyc drewno, które zostało po rozbiórce starego rodzinnego domu i warsztat stolarski z bogatym wyposażeniem.

Dobudował do domu teściów, na jego północnej ścianie izbę z sienią, w której zamieszkał z żoną. Resztę drewna



Wóz konny (fot. jest własnością rodziny p. T. Kućmierza).

ułożył w stodole z myślą, że może przyda się na budowę własnego „dachu nad głową”. Rozbudował przydomową oborę i całość pokrył nową strzechą. W starej części domu pozostała teściowa z Walerką i Zuzką.

Kupił konia. Naprawił wóz i narzędzia rolnicze, przechowywane w stodole, od śmierci ojca Giengi. (...) Gdy kończył prace polowe: orkę, zasiewy, zbiory – zabierał ze sobą narzędzia ciesielskie i szedł budować lub naprawiać stodoły i domy. Wiosną, w wolnych chwilach zajmował się szkółką, w której hodował i szczepił drzewka owocowe, ale także i róże. Robił to też u innych. Gdy nastawały mrozy, pracował przy warsztacie stolarskim. Robił drzwi zewnętrzne, najczęściej z dębowych desek i wewnętrzne – ze świetlikami oraz okna, stoły i stołki – wszystko to, co zamawiali ludzie i na co mieli materiał.

Konstruował urządzenia potrzebne w obejściu gospodarskim: wialnie do osiewania zboża, siewkarnie, elementy wozów konnych.

W rok po ślubie urodziła im się córeczka – Hela. Później przyszedł na świat Marian.

Czasy były trudne, bo przecież toczyła się wojna. Niemcy, na szczęście, rzadko odwiedzali wioskę, chyba, że przyjeżdżali po kontyngent i wtedy zabierali świnie, krowy, a nawet kury. W niektórych rodzinach pozostawiała jednak bolesne ślady. Mąż Adolczycki i ich syn, zaginęli na wojnie bez wieści. Prawie 40. letnia kobieta długo ich oczekiwała, ale na próżno. Zamknęła się w sobie, oddaliła od ludzi, nie chciała ich litości... radziła sobie jak umiała. Miała kawałek pola, więc jeśli nikt nie zaproponował jej pomocy – sama orała krowami, zaprzężonymi do pługa. One też ciągnęły wózek ze zbożem zebrany w żniwa, lub sianem na zimę. Niekiedy jednak, miała trochę więcej szczęścia, gdy ten i ów gospodarz zaołał jej pole, pomógł zasadzić ziemniaki, przywiózł drewna na opał. Upierała się wówczas, by zapłacić. Oni jednak wiedzieli, że nie ma z czego. Mówili tylko:

– *musimy sobie jakoś pomagać,*  
– *dziękuję* – odpowiadała – *ale ja często nie mam siły by to odpracować,*  
– *nie trzeba* – odpowiadali – *niech Wam się wiedzie.*

Giemek Lusinów, też gdzieś zaginął i nie doczekali się jego powrotu. Bolka Fundamentowego wywieziono na roboty do Rzeszy i powrócił dopiero na początku lat pięćdziesiątych. Walczaka z Górnej Wsi, wojna pozbawiła nogi. By móc chodzić, przypinał do niej drewnianą protezę. Żartował, że jest jak generał Sowiński w okopach Woli. Był z siebie dumny, bo nogę stracił w walce pod Monte Cassino.

Zdobył gdzieś stary silnik samochodowy i przerobił go na motor do starej młockarni, którą wyremontował i po żniwach, młócił zboże u ludzi w całej okolicy, przewożąc ją od zagrody do zagrody. Jak przy tym młóceniu



Polacy w Bitwie o Monte Cassino



sobie trochę podpił, śpiewał „Czerwone maki...” i inne żołnierskie piosenki. Do 1956 roku, ludzie pilnowali by, w tym czasie we wsi nie pojawił się jakiś niezajomy milicjant.... Już raz, za takie śpiewanie gdzieś poza wioską, przesiedział noc na posterunku w Zielonkach.

Giencie i Stefkowi na wiosnę 1944 roku zabrali Niemcy krowę, nie bacząc na to, że było dwoje małych dzieci. Kupili więc kozę, by dostarczyć im mleka.

W tym samym roku urodził im się drugi syn – Wiesław, ale miał zalewie parę miesięcy, gdy zachorował na zapalenie opon mózgowych i umarł. Rok 1944 stał się szczególnie trudny i bolesny, tym bardziej, że w 1943 roku Walerka wyszła za mąż za Jana Kuchtę, z tej samej wioski, który zażądał od teściowej za ten ożenek całej ziemi, domu i gospodarstwa. Udało się Zasadzinie urwać jednak z całości jeszcze dwie morgi: jedną dla siebie drugą dla Zuzki. Dla niej odmierzone następne 15 metrów szerokości z pola Giengi: od drogi po doły dla Giengi, za dołami – dla Zuzki.

Stefek wyniósł się na swoje. Sprzedał konia i zabrał się do budowy stodoły na własnym kawałku ziemi, niedaleko od miedzy z Fundamentami, 10 metrów od drogi.

Odgrodził dobudowaną przez siebie część obory. Zbudowanie domu na razie było niemożliwe. Na rzecz szwagra stracił założony przez siebie sad. Posadził więc obok stodoły nowe drzewa i założył warzywniak. Wziął też w dzierżawę od Rachwańca na Pustkach pół morgi pola.

W styczniu 1945 roku Michałowkę i okolice ominęły niemieckie oddziały, wycofujące się z Krakowa. Od strony szosy warszawskiej wejść nie mogli, bo skutecznie spychała ich partyzantka w Michałowickim Lesie.

Od Krakowa, w Witkowicach zagradzała im drogę armia radziecka. Nawet jakiś oddział dotarł do Górnej Wsi i Michałowki. Zatrzymał się na noc.

Spali na rozścielonej słomie w wielkiej izbie. Jasiiek z Walerką poszli spać do jego brata.

Teściowa z Zuzką spały u Stefków. „Ruscy” przespali się i poszli dalej. Obyło się bez żadnych incydentów. Nikt w okolicy się nie skarżył.

Na wiosnę w domu Zasadziny pojawił się konkurent do ręki Zuzki – Jasiiek Nogiec, z tych Nogciów mieszkających na Małym Krakowie. Pobrali się w następnym roku. Poszli mieszkać do jego domu, zabierając ze sobą matkę Zuzki. Ta zaś zabrała swoją krowę i postanowiła, że jej kawałek pola będzie uprawiał młody zięć.



Kupili więc kozę...



Partyzanci...

## Narodziny

Zima na przełomie 1942 i 1943 roku była mroźna. Pola zasypał śnieg.

Srodek wojny. Rozpoczął się adwent – 8 grudnia, majryjne święto – jak zwykle kobiety z Michałowki i okolic,



Wnętrze drewnianego kościoła w Naramie (spłonął w 1980 r.) – Marian Kornecki – *Sztuka sakralna*, Kraków 1993.

poszły o świcie, poprzez zaśnieżone pola, do odległego, drewnianego kościółka w Naramie na Roraty, niczego złego nie przeczuwając.

Nic też takiego się nie zapowiadało, gdy przekraczały mury otaczające kościół. Po zakończeniu nabożeństwa, czekała je straszna niespodzianka. Przy furtce, którą wychodziło się z kościelnego cmentarza, na drodze stała ciężarówka, dwóch niemieckich żandarmów i folksdojcz Zygmunt, którzy zmuszali je, by wsiadały na pakę samochodu. Jak która nie chciała, to bito je gutyperami, lub kolbami karabinów. Nie było ani jak, ani gdzie uciec. Załadowano ich tyle, ile się dało upchać. Folksdojcz Zygmunt wsiadł do szoferki. Żandarmi z tyłu paki. Samochód ruszył, ale spod plandeki nie było widać dokąd jedzie. Zawieziono je do remizy strażackiej w Iwanowicach.

W notatce *Przyczynek do dziejów Naramy*, zamieszczonej na stronie <http://www.forum.man.pl/sprawy/artykuly/artykuly1/przyczynek.html> – napisano: *W czasie okupacji był na terenie gminy Iwanowice Niemiec, postrach całej gminy, 19-letni „Zygmunt”. W Naramie, u Pana Polakiewicza ukrywała się rodzina żydowska, ojciec i prawdopodobnie dwie dorosłe córki. Jedną znałem, bo przyszła raz do sklepu i kupowała brzytwę. Zapewne chciała się bronić przed Zygmuntem. Zygmunt jakoś się dowiedział o nich i furmanką wywiózł ich za obecną remizę, gdzie wszystkich pozabijał. Pochowali ich za cmentarzem w lesie. Uczniowie ze szkoły i inne osoby, opiekują się grobami. Zygmunt niedługo cieszył się życiem.*

Samochód odjechał. Obracał jeszcze dwa razy. W sali remizy zaczynało być już ciasno. Rozeszła się wieść, że nazajutrz rankiem mają przyjechać inne samochody i zabrać kobiety gdzieś w nieznaną. Jedne mówiły, że na roboty do Rzeszy inne, że pewnie do obozu.



Tzw. „Łapanka” – ładowanie ludzi do ciężarówki, pod wojskową eskortą.

Wśród kobiet było dwie ciężarne. Nastąpiła noc, gdy Gienkę chwyciły bóle porodowe. W sali zapanował niepokój i popłoch. Do pilnowania kobiet w remizie, został jeden żandarm i Zygmunt. Wieści o zatrzymaniu kobiet, pomimo dużych odległości od ich miejsc zamieszkania, rozeszły się szybko. Dotarły do partyzanckiej grupy w Michałowickim lesie. Pod osłoną nocy mężczyźni zaatakowali zniemacką obstawę. Obezwładnili obu i zabili. Ciało wrzucono gdzieś do przepływającej przez Iwanowice rzeki Dłubni.

Kobiety były wolne, ale Gienka zaczynała właśnie rodzić. Zaniesiono ją do pobliskiego domu Cyrków. Tam gospodarze szybko się nią zajęli. Pomimo, że rodzina była liczna, a izba ciasna, szybko prześcielono dla niej łóżko, przygotowano świeże prześcieradła i nagotowano wody.

Koło północy urodziła chłopca. W domu Cyrków zapanowała radość i lęk równocześnie.

Pomimo, że dla domowników rozścielono słomiane posłanie na podłodze, bo łóżko było zajęte, tej nocy prócz dzieci nikt nie zmrzył oczu. Tej samej nocy ktoś powiadomił ojca dziecka w odległej Michałowce. Trzeba było się spieszyć. Gdyż rankiem 9 grudnia, pod remizę zajechały trzy auta. W remizie nie było już nikogo. Niemcy byli wściekli. Odjechali z niczym, ale zaczęli węszyć po okolicy. Wynajął więc Stefek sanie z końmi i w nocy z 9/10 grudnia, jadąc przez zaśnieżone pola z daleka od dróg, przywiózł żonę z dzieckiem do domu.

Postanowiono jeszcze w styczniu ochrzcić chłopaka. Na chrzestnych poproszono siostrę Gienki Walerkę i szwagra Stefka Karola. Ksiądz Madej, przy wpisie do księgi chrztu poradził jednak, by nie wpisywać prawdziwej daty urodzin, gdyż dowiedział się, że jakiś żandarm poszukuje kobiety, która urodziła tamtej nocy. Skąd się dowiedział – nie wiadomo, ale trzeba było być ostrożnym. Nadano chłopcu imiona: Marian Stefan i wpisano datę urodzin pierwszy stycznia 1943 r. Ksiądz tłumaczył, że to bezpieczna data, gdyż wiele dzieci, zwłaszcza chłopców, którzy urodzili się w grudniu, a nawet z końcem listopada wpisuje się pod tą datą, by trochę później szli do wojska. Miejsce urodzin wpisano „Michałówka”, i tak już zostało. Ponieważ przy podziale administracyjnym, w czasach PRL-u, Michałowkę przemianowano na Michałowice III, akt urodzenia Mariana stał się wyłącznie dokumentem historycznym, bo choć data urodzin nie zmieniła się, to w dowodzie osobistym i innych dokumentach, miejsce urodzenia wpisano już jako Michałowice III.



Kołyska.

## Ciekawość świata

Był początek maja 1944 roku. Marian miał niespełna półtora roku. Parę miesięcy temu nauczył się samodzielnie chodzić i gdy przyszła wiosna, trudno go było zatrzymać w izbie.

Pewnego dnia, po obiedzie matka zostawiła go w domu ze starszą siostrą Helą i poszła plewić do warzywnika koło stodoły. Hela bawiła się szmacianą lalką i nie bardzo ją interesowało co robi brat. Wyszedł więc na podwórko, ale tu było mało ciekawie, więc wybrał się na pierwszą



Las na Dołach (fot. Autora).

w życiu samodzielną wycieczkę. Zwiedził przylegający do zagrody ogród i wszedł na zieloną polną drogę, prowadzącą ku pobliskiemu zagajnikowi. Po drodze zrywał mało znane mu dotychczas kwiatki. Rzucił napotkanymi kamykami, aż sam nie wiedział, jak znalazł się w lasku nad dołami. Ileż tu było cudów.

Olbrzymie drzewa i mech, którego wcześniej nie widział i nie dotykał, paprocie – tak jak on wysokie. Utrudzony zwiedzaniem, położył się na miękkim posłaniu z mchu i usnął.

Tymczasem matka zapracowała się w warzywniaku i wróciła do domu, gdy słońce chyliło się już ku zachodowi. Hela spała, a syna ani w domu, ani koło domu nie było. Obiegła całe obejście. Szukała w starej stodole, ale i tu też go nie znalazła. Wpadła w panikę, bo przecież niedaleko od domu był staw. Wszczęła alarm, którym zainteresowali się sąsiedzi i pospieszili na pomoc. Przeszukali okolicę. Przegrzebali wodę w stawie grabiami. Staw był czysty. To ją trochę uspokoiło, ale przecież lęk o dziecko nie minął. Lusinka powiedziała: – *chodźmy w doły*. Posłuchali i ruszyli szukać go po polach, do samych dołów. Znaleźli śpiącego na mchu, pod wybująłą brzoza.

Po zakończeniu wojny, wiosną 1945 roku rodzice kupili białą, wychudzoną krowę.

Ojciec nabył rower, którym jeździł do pracy przy budowie domów i stodoł w okolicy.

Czasami zabierał ze sobą syna na wycieczki, chociażby do swojego brata Józka w Zagórzycach. Hela zostawała wtedy z matką w domu.

We wrześniu 1947 r. Hela poszła do pierwszej klasy, do szkoły odległej o cztery kilometry od domu, tej samej, do której chodziła jej matka, w Woli Zachariaszowskiej. Szkoła mieściła się w budynku mieszkalnym, przedzielonym na pół sienią. Po lewej jej stronie było mieszkanie nauczycielskie, po prawej duża sala lekcyjna. Wyposażona: w długie, sześciuosobowe ławy z pulpitemi, w których



Rodzice, siostra Hela, ja – na rowerze i nasza żywicielka (fot. Autora).

były otwory na kałamarze; tablicę szkolną, stojak z mapami do geografii i historii; przeszklone szafy w których były urządzenia dydaktyczne do fizyki i substancje, i odczynniki chemiczne.

Do budynku przylegał ganek przez który wchodziło się do szkoły. Naprzeciw wejścia, za drogą, stała drewniana remiza Ochotniczej Straży Pożarnej. Obok niej było boisko sportowe. Za nią ubikacje dla uczniów i kawałek pola należący do szkoły. Szkoła była czteroklasowa. Uczniowie uczyli się na zmiany, ale bywało, że i dwie klasy jednocześnie.

Do czasu pójścia Heli do szkoły w domu jedynymi książkami w domu były książeczki do modlitwy w kościele. Teraz pojawiły się nie tylko książki, ale i zeszyty, które intrygowały młodszego od Heli Mariana. On też chciał pisać i czytać.



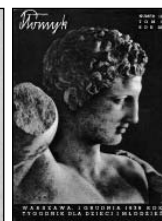
Dawna izba szkolna w wiejskiej szkółce.



Dawne zeszyty i przybory szkolne.



Dawne modlitewniki.



„Płomyki” i „Płomyczki” z okresu międzywojennego.

Powoli poznawał świat liter, wyrazów, zdań i po roku wspólnej nauki z Helą, radził sobie już samodzielnie z pozostawionym przez nią elementarzem. Któregoś dnia zaszedł po coś do domu Lusinów. Danusia pokazała mu dużo książek i czasopism dla dzieci, jeszcze z okresu międzywojennego. Były tam „Płomyczki” i „Płomyki”.

Nie mógł się od nich oderwać. Zadawał wiele pytań, znacznie starszej od siebie dziewczynie. Prosił by mu przeczytała i to i owo. Gdy wracał do domu pozwoliła mu zabrać dwa lub trzy czasopisma. W domu trudził się i czytał.

Były tam opowiadania Kornela Makuszyńskiego, były wiersze Ort-Ota i Wiktora Gomulickiego. Jeden wielostrofowy wiersz o przygodach ze strusiem tak mu się spodobał, że wyuczył się go na pamięć. Niebawem była jakaś uroczystość u Lusinów, chyba czyjeś imieniny. Rodzice zabrali ze sobą dzieci. Przyjęcie odbywało się w dużym, dobrze rozświetlonym pokoju. Marian poczuł się w nim

jak w świecie baśni. Na polakierowanej podłodze leżał barwny dywan w tureckie wzory.

W pokoju były obrazy i to wcale nie świętych. Przy długiej ścianie, na przeciw której siedział z rodzicami i siostrą, stał pięknie rzeźbiony i przeszklony kredens, a w nim kolorowe filiżanki, kryształowe naczynia.

Obok kredensu znajdował się duży szafkowy zegar, z lśniącymi mosiężnymi wagami i wahadłem. Na długim, przykrytym białym obrusem stole były rozstawione kolorowe talerze i miski ze złożonymi brzegami, a na nich pokrojone wędliny, ciasta i ciasteczka. Pokój rozświetlały duże lampy naftowe.

Goście rozmawiali między sobą, śpiewali sto lat. Było sympatycznie i wesoło. W pewnej chwili Danusia, która wiedziała, że Marian nauczył się niektórych wierszy na pamięć, poprosiła go by wyrecytował ten o strusiach. Wstał i bez zająknięcia zaprezentował sześć strofek. Bili mu brawo. Speszył się trochę, ale po chwili to minęło. W nagrodę Danusia pozwoliła mu posłuchać muzyki w słuchawkowym radiu.

Gospodarstwo Lusinów wyróżniało się od innych w całej okolicy. W zabudowie znajdował się duży przestronny dom z kuchnią i dwoma pokojami, oddzielnie murowana stajnia dla koni i obora, ogromna stodoła w której stał wóz i powozy: bryczka i wolant. Taka bryczka na bardzo lekkich kołach z lakierowanymi szprychami i piastami obudowanymi lśniącymi mosiężnymi piastami. Gondola bryczki zawieszona była na wylakierowanych na czarno wysokich resorach. Nad kołami znajdowały się lekkie, wyprofilowane wachlarze z metalowym schodkiem. Z przodu koziół dla woźnicy. Za nim wygodne siedzenie dla gości, z wyścielanym czerwonym materiałem oparciem. Wolantem wożono gości na wesela, lub inne uroczystości. Zaprzęgano do niego parę koni ubranych w piękną uprzęż, ozdobioną mosiężnymi i niklowanymi blaszkami, czerwonymi kutasikami i koralikami.

Podwórko zagrody było zawsze posprzątane i pozamiatane.

Za zabudowaniami był duży ogród w którym były szlachetne odmiany drzew owocowych, alejki i klomby z kwiatami. Dalej był warzywniak, a za nim pole uprawne. Z Lusinami być może mógł się jeszcze równać Miska i Massalski, mieszkający na Małym Krakowie.

Świat Lusinów jawił się jak świat baśni, wobec panującej dookoła biedy. Większość chat i stodoł była kryta strzechą. Ludzie byli kiepsko odziani. Dziewczęta i chłopcy, przed pójściem do szkoły, od wiosny do jesieni chodzili po obejściu domowym i w ogrodzie na golasa. Ubierano je w dni chłodne i deszczowe w sukienki, bez bielizny pod spodem. Nie znali poczucia wstydu. Zresztą, nagość wśród bliskich nikogo nie krępowała, ani też nie wzbudzała ciekawości. Było to jak w Biblii – „...byli nadzy, nie odczuwali wobec siebie wstydu [Rdz 2,25]”. W domach najczęściej nie było jeszcze łazienek, ani wydzielonych miejsc do kąpiel. Kąpano się więc nago w baliach i to nie tylko dzieci, ale też dorośli. Kobiety karmiące dzieci, nie krępowały się obnażać piersi nawet wobec obcych. Nastolatki, dziewczęta i chłopcy, w rzece czy w stawie kąpali się na golasa. Później, gdzieś w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, zaczęło się to bardzo szybko zmieniać i to nie tyle z powodu nabrania wstydu, co poprawy warunków

materiałnych i zainteresowania strojami. Ubranie stało się nową skórą. Brak jakiegokolwiek jego części zaczęła być odczuwana, jak okaleczenie, a plama na nim – jak bród na własnym ciele.

Ubieranie się, podobnie jak przeglądanie w lustrach i lusterkach, stało się nie tylko potrzebą nowego typu, ale wręcz modą. Ubranie stało się przedmiotem pożądania i zazdrości, a w końcu – przyczyną nabywania wstydu i równocześnie – zainteresowania nagością. Podobnie zresztą, jak zasłony i parawany podczas kąpeli. Wystarczyło, że któraś z sąsiadek zauważyła w jakimś domu, że domownicy odgradzają się od innych jakąś zasłonką, np. z prześcieradła, by ten pomysł wprowadzić u siebie. Już z początkiem lat sześćdziesiątych trudno było zobaczyć jakiegokolwiek dziecko chodzące po mieszkaniu nago, a co dopiero po ogrodzie. Podrastające dziewczęta stroiły się w coraz ładniejsze ubrania. Rozmawiały o coraz modniejszej bieliznie i nie do pomyślenia było, by któraś rozebrała się do golasa, kąpiąc się w rzece lub w stawie, chyba że miały pewność, iż w okolicy nie ma żadnego chłopca. Ci zaś, wykorzystywali takie okazje – ukryci gdzieś w zaroślach podglądali, albo – co gorsza – podkradali dziewczynom ubrania, i oczekiwali na ich wyjście z kąpeli, krzyk i panikę, póki odzienia nie odnalazły.

Wyżywienie było byle jakie. Najczęściej gotowano zupę ziemniaczaną, zwaną fitką, żur z ziemniakami, kluski prażone – czyli przyprażoną mąkę, zalaną wodą i mieszaną w czasie gotowania, aż utworzyła się zwięzła masa, którą łyżką dzielono na małe porcje – kluski. Jeżeli była w domu słonina, krojono ją, podsmażano na skwarki i maszczono posiłek, jeżeli nie – to kluski polewano śmietaną lub posypywano cukrem. Mięso rzadko pojawiało się na stołach. W bogatszych domach raz w tygodniu – na niedzielę. W biednych – tylko na święta. Jedzono łyżkami, często z jednej miski.

Dopiero z czasem każdy miał swoją miskę i zaczęły pojawiać się widelce i noże.

Matka Mariana i Heli często chodziła do miasta – do Krakowa po to by sprzedać parę jajek, czy mleka i kupić kostkę margaryny, cukier, sól czy coś do ubrania. Marian prosił ją, by kiedyś zabrała go z sobą, ale ona odmawiała. By go zniechęcić mówiła: – *jak ktoś pierwszy raz idzie do Krakowa, to na rogatce, na Białym Prądniku musi pocałować czarną babę w dupę...*

Na początku jesieni w 1948 roku udało się Marianowi uprosić ojca by zabrał go z sobą do Michałowickiego Lasu na grzyby. Wstali wcześniej rano – przed świtem. Ubrali



Grzybobranie w Michałowickim Lesie (fot. Autora).

się. Zabrali ze sobą koszyk i poszli wzdłuż pól ku dołom. Stamtąd miedzami weszli na wysoki stok pod Piekarę i dalej do lasu na jego południowe zbocze, porośnięte drzewami szpilkowymi: sosnami i świerkami, wśród których tu i ówdzie pojawiały się brzozy, graby i krzewy leszczyny. Dołom rosły paprocie i ostrężyny. Tu w mchu znajdowali kurki i od czasu do czasu gołąbki, nazywane bełtkami. Spośród tych, ojciec zbierał tylko niektóre: winne i fioletowe.

Uczył syna, że niektóre z tych grzybów są trujące. Mówił: – *tych jasnych, białych, podobnych do pieczarek lub podsadówek nie zbieraj – to mogą być sromotniki, bardzo trujące. Tych zielonkawych – też nie; nie zbieraj też czerwonych, łatwo je pomylić z gołąbkami wymiotnym.*

Obok brzozek udało im się znaleźć kozaki, a w zaroślach młodych osik nawet kozaki czerwone, zwane krakowiakami. Później zeszli w dół do łąki rozdzielającej las na trzy strony, z których każda wznosiła się na pagórki. Stąd leśną drogą poszli w kierunku lasu liściastego. Tu znajdowali podgrzybki i to co sprawiało największą radość – prawdziwki. Ojciec zbierał też rosnące tu i ówdzie na pniakach czarne, lejkowate grzyby, przypominające cholewki od buta i zwane przez niego „chlewkami”. Poranne słońce już dobrze zaczęło przygrzewać, gdy napełnili koszyk różnymi grzybami i wrócili do domu.

W domu oczyścili grzyby z mchu, ściółki leśnej i piasku, przejrzeni je i wyrzucili zacierwiate. Poukładali oddzielnie kurki, gołąbki, cholewki i te z gąbkami pod spodem: kozaki, podgrzybki, borowiki. W czyszczeniu i układaniu grzybów, pomagały mama i Hela. Mama pokroiła trochę cebuli i wrzuciła na rozgrzany tłuszcz na patelni. Kiedy cebula już się zeszkliła, wrzuciła pokrojone kurki i chlewki. Wszystko przysmażyła, dodając na koniec rozbite jajko. Tak powstało wspaniałe, smaczne jedzenie. Po posiłku, ojciec przygotował gołąbki do kiszenia. W kamiennym garnku układał warstwami: cebulę, grzyby i znowu cebulę, grzyby – oprószając solą każdą warstwę. Całość dobrze przycisnął, przykrył cienkimi deszczuleczkami, obciążył kamieniem, nakrył to wszystko czystą lnianą szmatką i obwiązał sznurkiem. W tym czasie, matka pokroiła grzyby szlachetne i ponabijała na kolce śliwowej gałązki z przeznaczeniem do suszenia.

W tym samym roku jesienią, ojciec dobudował do stodoły dwie szopy. Jedną od strony południowej od lewej



Ziemna piwniczka.

ściany do wrót, drugą na wschodniej poprzecznej ścianie. Za nią postawił wychodek. Ta pierwsza była otwartą – bez drzwi, druga – zabudowana z drzwiami. Służyła jako stolarnia, do której przeniósł z izby warsztat stolarski i narzędzia.

Zbudował też ziemną piwniczkę do przechowywania ziemniaków i warzyw w zimie.

### Wielkie zmiany

Rok 1949 pełen był dramatycznych wydarzeń i przemian.

Pewnego lipcowego dnia, matka wróciła z Krakowa i położyła się spać w izbie. Hela i Marian bawili się z innymi dziećmi u Skwarów, gdy nagle zauważyli, że strzecha domu stanęła w ogniu.



Pożar strzechy.

Wbiegli do mieszkania z wrzaskiem: – *mamo, pali się dom!* Obudziła się. Wybiegła przed drzwi, niedowierzając dzieciom. Wszczęła alarm. Otworzyła drzwi od obory, by uwolnić zwierzęta i zaczęła wynosić z izby, co się tylko dało.

We wsi rozległ się dzwon alarmowy, z daleka słychać było sygnał trąbki strażackiej. Zbiegli się ludzie z wiadrami i czerpiąc wodę z pobliskiego stawu, oblewali ściany domu. Pomagali Walerce Kuchtowej ratować dobytek. Niebawem przyjechały wozy strażackie z Naramy.

Uruchomiono pompy ręczne i sikawki. Zaczęto tłumić ogień, ale ten przeniósł się również na dom Rosów, który także zaczął płonąć. Dotarły Ochotnicze Straże Pożarne z Woli Zachariaszowskiej, Naramy i z Garlicy Murowanej. W końcu udało się powstrzymać ogień, ale na obu domach dachy zdążyły spłonąć. Opalone były ściany. Walerka z małym jeszcze Staszkiem przeniosła się do brata Jaśka, Tadka. Stefana nie było w domu, pracował w Zagórzycach. Gdy dowiedział się o pożarze, przybył natychmiast, ale było już po wszystkim. Obejrzał pogorzeliśko, z którego udało mu się jeszcze wydobyć jakieś naczynia i rzeczy użyteczne w gospodarstwie. Całe szczęście, że mieli własną stodołę, która teraz musiała pełnić także funkcję domu. Ocalała z pożaru krowę i parę kur umieścili w tej części stodoły, gdzie wcześniej znajdowała się siewkarnia. Pomieszczenie to miało strop i oddzielne wejście. Na boisku stodoły ustawili łóżka.

Któregoś dnia, Stefan, po pracy przyniósł dzieciakom szczeniaka, nierasowego owczarka alzackiego o białych łapkach, którego nazwano Łapek.

Dwa dni później zdobył Stefek od kogoś dwufajerkowy piecyk żelazny i rurę kominową. Ustawił piecyk w podwórku, nieopodal czereśni – różówki i urządził kuchnię połową. Gotowano na nim obiad. Między innymi kaszę. Gdy ją odstawiano na chwilę, ciekawski wszystkiego piesek poparzył się w niej i leczyli go aż do zapadnięcia zimy. Gdy się wyleczył, po poparzeniu i dorósł, miał wciąż słabe zęby.

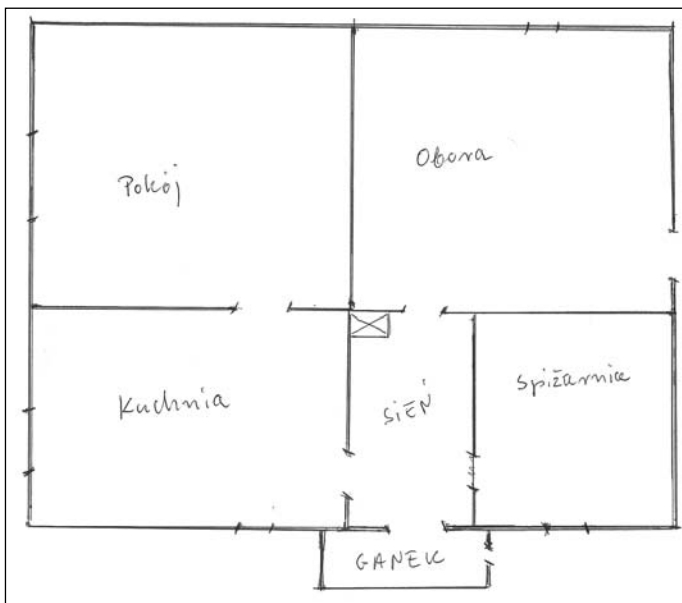
Teściowa, która mieszkała u najmłodszej córki Zuzki, dowiedziawszy się o tragedii, postanowiła Stefkom pomóc. Zaproponowała im, by odmierzyli z jej kawałka pola 20 metrów od drogi – na całej szerokości, i na tak odmierzonej placu zbudowali dom. Ucieszyli się tą ofertą, bo ich pasek ziemi był tak wąski, że trudno było by ulokować dom, w pobliżu stojącej już stodoły. W ten sposób tworzył się bowiem obszar 20 na 30 metrów, pozwalający na urządzenie obejścia.

Zaczął więc Stefek gromadzić materiały budowlane na dom. Kupił wapno palone i zlasował je, zlewając do wykopanego dołu. Zakupił i przywiózł kamień wapienny na budowę piwnicy i ścian domu. Miał jeszcze drewno, zabezpieczone po rozbiórce starego, rodzinnego domu w Zagórzycach, którego nie wykorzystał wcześniej, do budowy izby przy domu Gienki.

Sporządził projekt domu o wymiarach 9 na 7 metrów: dwie izby 4 na 4 metra – w jednej duży pokój mieszkalny w drugiej na razie obora; kuchnia 4 x 2,5 metra; sień, komora – pomieszczenie, które będzie miało różne przeznaczenie w zależności od potrzeb. W dachu domu – ganek z widokiem na wschód. Przed domem, również ganek. Pod kuchnią – piwnica. Zrobił wykop pod piwnicę. Ściany obmurował kamieniem. Przykrył żelbetonową płytą i rozpoczął budowę. Ściany pomieszczeń mieszkalnych budował z drzewa, pozostałe z kamienia.

\*\*\*

Była bieda. Na wszystko brakowało pieniędzy. Ponieważ sam budował, nie mógł iść na zarobek. Poza tym, ludzie zalegali mu z wypłatą. Było to ponad 10 tysięcy, ale wciąż byli niewypłacalni. Tym czasem kończyło się wapno gaszone oraz piasek na zaprawę murarską i tynki;



Plan domu (rys. Autora).

brakowało na trzcinę pod tynki. Musiał coś wymyślić, by jednak dom zbudować. Była glina. Tej zawsze był dostatek – bo i z dołu wykopanego na wapno i ta, wybrana pod piwnicę. Z niej zrobił zaprawę murarską, by dokończyć budowę ścian. Zamiast trzciny, użył wewnątrz pomieszczeń wyschniętych łądyg malin i bobu. Glinę zmieszał z plewami i tynki położył.



Wielka purchawica w przydomowym ogródku (fot. Autora).

Jakby za mało było jeszcze tych trudności – zbuntowała się teściowa. Posadzone przy budowanym domu drzewka owocowe, które nie zdążyły się jeszcze dobrze w ziemi osadzić – powrywała pewnej nocy i połamała, wszczynając awanturę i odbierając połowę darowanej wcześniej ziemi, by zasiał na niej zboże...

Była już połowa października. Wynajął zduna żeby postawił piec. Miał to być piec wielofunkcyjny: chlebowy i kuchenny, ogrzewający kuchnię i pokój. Zdun piec postawił.

Spali już wtedy w kuchni. W nocy obudził ich rumor. Sklepienie pieca załamało się a wraz z nim rozsypał się cały piec. Rozzłościł się, ale złość nie jest najlepszym doradcą. Chodził w tę i z powrotem – nad doły i pod dom. Wrócił wreszcie do kuchni, rozebrał rozwalony piec. Cegły wyniósł na podwórko. Na klepisku podwórka napisał patykiem wzór na obwód koła. Wyliczył wymaganą długość łuku, potrzebną do określonej przez niego szerokości pieca. Przeliczył, ile cegieł po ich długości mieści się w łuku sklepienia. Przygotował cegły i ułożył z nich sklepienie pieca, bez zaprawy, układając cegły jak w murze. Ku przerażeniu dzieci, oparł najpierw jedną nogę o szczyt sklepienia. Nacisnął. Sklepienie nie drgnęło. Stał na nogę na nim, podniósł drugą i stanął na nim obiema. Dzieci krzyczały:

– tato, połamiesz nogi..., co ty robisz?

– sprawdzam, jeśli się nie rozwalą, to piec będzie stał.

Sklepienie wytrzymało.

Uprzątnął resztę gruzu z kuchni. Pozostawił tylko podmurówkę pod piec. Środek wyłożył gliną zmieszaną z piaskiem i tłuczonym szkłem. Było to palenisko pieca chlebowego, nad którym miał powstać na nowo łuk sklepienia. Przygotował zaprawę murarską. Wniósł wyliczone przez siebie cegły z konstrukcji na podwórku i zabrał się do roboty. Sklepienie pieca chlebowego obudował cegłą, ponad jego wysokość w kuchni i w pokoju. Piec jedną trzecią długości wchodził w duży pokój. Nad sklepieniem zrobił palenisko dla pieca kuchennego i w ścianie czołowej pieca osadził drzwiczki do obu pieców.

W kuchni wyprowadził murek pod osadzenie płyty kuchennej z trzema otworami na fajerki. W części pokojowej osadził piekarnik. Wokół niego i nad nim rozbudował piec do wysokości pieca kaflowego, tak by ta jego część mogła ogrzewać pokój. Piec był gotów. Uzupełnił ścianę, oddzielając kuchnię od pokoju. Po dwóch dniach, kiedy zaprawa w piecu stężała, rozpalił ogień – najpierw w piecu chlebowym sprawdził czy jest dobry ciąg, czy nie będzie wydymało. Było w porządku. Następnie skontrolował palenisko pieca kuchennego.

W środkowym otworze płyty pieca postawił garnek z wodą, mówiąc: – ugotujemy teraz pierwszą zupe.

Istotnie. Żona obrała ziemniaki i jarzyny. Oplukała, wrzuciła do garnka i powiedziała:

– to koniec gotowania pod czereśnią..., dobrze, bo robi się coraz chłodniej.

Tak zjedli pierwszy obiad, ugotowany na własnym piecu w kuchni i mogli spać w trochę już ogrzanym mieszkaniu. Ognia w piecu nie można było jeszcze utrzymywać zbyt długo, ponieważ był zbyt świeży. Musiał wysychać powoli, ale tydzień później, po raz pierwszy upieczono w nim chleb i co najważniejsze, przed włożeniem chleba – upieczono pierwsze podpłomyki, ku niesłychanej radości dzieci.

Był już początek listopada. Do zakończenia budowy zostało jeszcze przykrycie dachu, ale zalegający dłużnicy wciąż nie mieli pieniędzy. Postanowili więc sprzedać krowę, by kupić azbestowe płyty na pokrycie dachu. Wtedy były one najczęściej stosowane. Myśleli – ludzie w końcu wypłacą zaległe pieniądze, to może przed zimą kupimy nową krowę. Niestety, stało się to czego nie przewidzieli – wymieniono pieniądze, a zwróconych pieniędzy nie było ponad 10 tysięcy, ale tyle, że wystarczyło jedynie na płaszcz i buty dla Stefana.

Kupili płyty i cementową dachówkę na pokrycie dachu domu oraz ganków i wprowadzili się na dobre. Łóżko z kuchni przenieśli do pokoju. Do kuchni zaś wstawili warsztat stolarski. Na realizację czekało bowiem parę zleceń na meble, drzwi, okna. Również dla siebie to i tamto w warsztacie należało zrobić.



Dom rodzinny – fot. 1956 (fot. Autora).



Dom rodzinny przed rozbiórką – fot. 2013 (fot. Autora).

Na dobre jednak zaczęła się zima. Gliniane tynki w mieszkaniu jeszcze porządnie nie wyschły. Kupił więc żelazny okrągły piecyk, wstawił do pokoju i podłączył rurą nad piecem do komina. Teraz było ciepło. Tyle tylko, że trzeba było często wietrzyć, by nie zbierała się para z wysychających ciągle ścian.

We wrześniu 1949 roku, Marian nie mając jeszcze ukończonych siedmiu lat poszedł do pierwszej klasy. Zazdrościł Heli, nie mógł się doczekać tej chwili. Teraz był szczęśliwy. Na razie nie miał tornistra – więc zeszyty, książki i piórnik nosił obwiązane paskiem, podobnie zresztą, jak wiele dzieci. Tornister zrobił mu ojciec dopiero w zimie.

Wybrał na to cieniutkie, dobrze wyschnięte deski z wierzbowego drzewa, by był lekki. Zrobił tornister z zamkniętym wieczkiem i przymocował do niego skórzane szelki. Ten drewniany tornister uratował Marianowi życie. W styczniu gdy śnieg zasypał pola na równo z dolinkami, chłopiec idąc do szkoły, chciał sobie skrócić drogę i poszedł na przełaj. Początkowo śnieg był zmarznięty i twardy, ale gdy przechodził nad zasypaną dolinką, nagle krucha powierzchnia śniegu załamała się i wpadł po sam tornister. Chcąc się wydobyć, wpadał jeszcze głębiej. Udało mu się jednak zdjąć tornister z pleców, wziąć przed siebie tak, by móc nim ugniatać śnieg. W ten sposób wydostał się z zapaści i szczęśliwie dotarł do szkoły. Od tego czasu, zawsze już chodził w zimie za drogą, chociaż wydłużało to czas dojścia do celu.

W pierwszej klasie było tylko dziesięcioro uczniów, wśród nich jedna dziewczyna. Uczyli się równocześnie z klasą drugą – w jednej sali lekcyjnej, pod okiem jednego nauczyciela – Pana Zarębskiego, który uczył jeszcze przed wojną, między innymi mamę Heli i Mariana. Nauka odbywała się na dwie zmiany. Dwie starsze klasy chodziły na lekcje do południa, dwie młodsze – później.

Ponieważ w szkole były tylko cztery oddziały, postanowiono, że Hela po trzeciej klasie przeniesie się do szkoły w Naramie. Poszła tam do piątej klasy jej koleżanka ze wsi; posłano więc do niej także Mariana – który właśnie kończył klasę pierwszą – wychodząc z założenia, że w trójkę będzie im raźniej.

Do szkoły w Naramie było znacznie dalej, bo aż sześć kilometrów i bardziej niebezpiecznie, gdyż około 80% drogi pokonywało się polną ścieżką, oddaloną od drogi i jakichkolwiek zabudowań. Wychodziło się ze źródlanej doliny pod domem Cieślaka, następnie pod dom Deptów i teraz już wśród zaoranych, lub obsianych, a zimą zaśnieżonych pól, należało dotrzeć do pierwszych zabudowań w Naramie, mijając po drodze nieodległy Owczarski Las. Dalej, droga prowadziła do remizy strażackiej i stamtąd już gościńcem, obok przedwojennych jeszcze czworaków, starego dworu i przylegającego do niego parku, drewnianego kościoła stojącego za grubymi murami – do murowanego piętrowego budynku szkoły. Nieopodal szkoły był cmentarz parafialny – na którym spoczywają dziadek Mariana (Piotr Zasada) i brat Wiesiu – a dalej Naramski Las. W sąsiedztwie szkoły znajdował się dom, w którym mieszkał kościelny oraz dom organisty – Szostaka. Z jego córką – Elą, przyjaźnił się Marian. Po przeciwnej stronie była plebania, otoczona budynkami gospodarczymi, w tym olbrzymią stodołą. Budynki plebanii okalał ogród i kamienny mur, który łączył się z murem biegnącym



Szkoła w Naramie – dzisiaj.

wokół kościoła, zaś furтка w murze, pomiędzy siedzibą proboszcza, a kościołem – prowadziła wprost do zakrystii. Po drugiej stronie kościoła, bramka w murze wiodła do pięknie utrzymanego parku dworskiego. Główna aleja dochodziła do piętrowego dworku, w którym mieszkali nauczyciele. Z drugiej strony drogi, naprzeciw dworu, stały stare dworskie czworaki, użytkowane niegdyś przez służbę dworską.

Murowany, pokryty czerwoną dachówką, piętrowy budynek szkoły, wyróżniał się pośród innych zabudowań. Przylegało do niego duże boisko sportowe. Za szkołą rozciągało się strome, skaliste zbocze, ubogo porośnięte trawą, spadające do drogi na dnie wąwozu. Na parterze i piętrze, znajdowało się kilka lekcyjnych sal – dużych i dobrze oświetlonych, pokój kierownika szkoły z sekretariatem oraz pokój nauczycielski.

Chociaż szkoła była siedmioklasowa, lekcje wszystkich klas odbywały się na jedną zmianę. Tyle tylko, że klasy młodsze przychodziły dwie godziny później niż starsze.

W nowej szkole, do której chodził przez dwa lata, zawarł Marian nowe znajomości. Niektóre z nich przerodziły się w przyjaźń na wiele lat. Z tamtego okresu, najlepiej zapamiętał wycieczkę z wychowawczynią trzeciej klasy, do Szczodrkwic – wioski zbudowanej w jurajskiej, skalistej dolinie, biegnącej od Naramy w stronę Cianowic. Na wycieczce podziwiali wapienne skałki i wspinali się na nie, by przejść ścieżką do niewielkiej grotty. Nauczycielka prowadząc ich tą trasą, opowiadała, że jak głosi legenda, właśnie tędy przejeżdżała na osiołku Maryja, uciekając przed złym królem Herodem do Egiptu. Pokazywała ślady kopytek osła, odcisnięte w skałach i doprowadzając do grotty, tłumaczyła, że w niej zatrzymali się na noc. Interesujący apokryf – tym bardziej, że wychowawczyni mówiąc, że to jest legenda, nie wyjaśniła dzieciom, że Egipt i Nazaret z którego uciekali, leżą w innej części świata, daleko od Polski, za Morzem Śródziemnym...

\* \* \*

Wiele zmian zachodziło i w domu Mariana, i w otoczeniu. Latem 1950 roku, by uzyskać chociażby małe pastwisko, rodzice wykarczowali drzewa i zarośla na 3-arowym stoku, opadającym w doły i posiali na nim trawę. Zagajnik po przeciwnej stronie zachowali i tworzył on z innymi zaroślami, należącymi do – Ciotki Zuzki, Fundamentów i Grudników – całkiem przyzwoity lasek, na nachylonym

w stronę zachodu stoku. Rosły w nim dęby, brzozy, jesiony, jarzębina, krzaki leszczyny, a wśród spotkać można było kalinę i krzewy ostreżyn. W mocno zacienionych miejscach, przy śnieżkach rósł kopytnik.

Na granicy zagrody z drogą, ojciec posadził grabowy żywopłot, łącząc go z żywopłotem, posadzonym wcześniej przez Fundamenta. Z czasem, przycinane krzaczki grabowe, utworzyły zieloną ścianę, odgradzającą drogę od zabudowań obu posesji, aż po Grudnika. Z pozostałych stron całość ogrodził drewnianym płotem ze sztachet, tak by ptactwo domowe nie mogło wyjść poza obręb podwórka. Przy płocie posadził krzewy i drzewka ozdobne: róże, kalinę ogrodową, migdałowce, jaśmin i bez, a także parę krzaczków agrestu i porzeczek. W ogrodzonej przestrzeni wokół domu i stodoły, posadził też parę drzew owocowych: dwie reiny, i czarną chromę; przy stodole – orzecha włoskiego, dwie śliwy renklody i dwie jabłonie; na odcinku od drogi do stodoły, przy granicy z Fundamentami i przy żywopłocie – kilka śliw węgierek. Przed południową ścianą domu urządził ogródek. Pomiędzy oknami osadził drabinkę i posadził przy niej krzak pnącej róży, zaś na rabatkach były floksy, goździki i inne kwiaty. Przy wejściu do ogródka – drzewo morelowe.

Pomimo modernizacji i nakładów pracy, utrzymanie rodziny i dobytku na niespełna półtorahektarowym gospodarstwie, nie było proste. Potrzeby ciągle wzrastały i chociaż przybywało trochę pieniędzy ze sprzedaży owoców z ogrodu, to zakup krowy i owcy, niewielka hodowla kaczek, gęsi i dwóch prosiaków, wymagały dodatkowych nakładów. Do tego doszły wydatki na książki i zeszyty, ubrania do szkoły. Poza tym, na gospodarstwo nałożony był obowiązek odstawiania części płodów rolnych i żywności na rzecz państwa. Za obowiązkowe dostawy płacono niewiele – nie wystarczało nawet na ich odtworzenie. I chociaż obciążenia te były proporcjonalne do ilości posiadanej ziemi i właściciele gospodarstw poniżej trzech hektarów nie musieli „odstawiać” żywności, a jedynie zboże – to i tak była to dolegliwość – często dokupować trzeba było zboża na pasze lub pod zasiewy. Niewielkie też były dochody z dorywczych zajęć Stefana: z naprawy butów, zegarków, prac stolarskich i ciesielskich, a do tego w marcu 1951 roku urodziła im się córka, której dali na imię Teresa.

Musił więc ruszyć za poszukiwaniem stałego zajęcia. Przez rok pracował przy budowie mostów, co wymagało przebywania poza domem, na delegacji tam, gdzie je budowano. Po roku podjął pracę jako wartownik, w bazie budowlanego



Gałązka dzikiego bzu (fot. Autora).



Mikołajkowe paczki dla dzieci (dzisiaj).

przedsiębiorstwa transportowego w Krakowie, przy ul. Marii Konopnickiej. Gwarantowało mu to nie tylko stałe zarobki, ale także ubranie i świadczenia socjalne. Przed Bożym Narodzeniem przynosił dzieciom paczki, otrzymywane na Mikołaja – z owocami cytrusowymi, ciastkami i czekoladkami.

Pracował na zmiany, tak że pomiędzy zmianami miał dni wolne, które pozwalały na wykonywanie prac polowych i inne zajęcia wokół domu. W niektórych gospodarstwach, w których było więcej ziemi, tak jak u Kuchtów, czy Misków, zaczęto uprawiać tytoń. Obok domów budowano suszarnie.

Gdy liście roślin już dorosły, obrywano je, przywożono lub znoszono do domów. Sortowano według wielkości i nabijano na druty. Zawieszano je na nasłonecznionych ścianach stodół lub domów, pod okapami, by nie padał na nie deszcz i tu, wygrzewając się w słońcu, dojrzewały i podsychały.

Później wędzono je w suszarniach. Zdejmowano z drutów, układano w wiązki i dostarczano do punktów skupu. Tak spreparowane liście, były pachnące i nie kruszyły się. Za to w czasie ich suszenia, nad wsią unosił się zapach, jakby jakiś gospodarz palił ogromną fajkę.

Opowiadano, że wieczorami bogatszych gospodarzy odwiedza jakiś agitator i namawia, by zakładali spółdzielnie rolnicze. Nikt jednak nie dał się namówić. Owszem, w Michałowicach, przy drodze prowadzącej przez Pustki w kierunku Naramy, stworzono taką. Zaorano traktem między polami, obsiano jednym rodzajem zboża i gospodarowano tak do 1956 roku. Po przemianach, podzielono na nowo pole między gospodarzy. Pozostałością lat pięćdziesiątych w okolicy, była Gminna Spółdzielnia w Michałowickim dworze i Państwowe Gospodarstwo Rolne w Garlicy Murowanej, przekształcone w gospodarstwo doświadczałne Wyższej Szkoły Rolniczej w Krakowie (obecnie Uniwersytetu Rolniczego).

\*\*\*

Po dwóch latach nauki w naramskiej szkole, Hela i Marian wrócili do szkoły w Woli Zachariaszowskiej. Tu bowiem, dobudowano do remizy strażackiej ogrzewane kafłowymi piecami baraki, w których urządzono sale lekcyjne, pozwalające na prowadzenie nauczania w siedmiu klasach.



Stara szkoła w Woli Zachariaszowskiej.

Za barakami wygospodarowano boisko sportowe, ze słupkami do zawieszania siatki i bramkami, do gry w szczypiorniaka, lub piłkę nożną. Szkołę wyposażono też w bibliotekę.

Uczący tu dotychczas Zarębski, przeszedł do szkoły w Michałowicach, a na jego miejsce pojawił się nowy kierownik – M. Mietecki, nauczający biologii i wf-u oraz nauczycielki i nauczyciele od innych przedmiotów.

Lekcje rozpoczynały się – w dni pogodne – od apelu na boisku szkolnym, w pochmurne i deszczowe – na korytarzu szkoły. Odśpiewywano wówczas hymn Międzynarodowego Związku Młodzieży, rozpoczynający się od słów: „Naprzód młodzieży świata...”. Po hymnie, przewodniczący klas przeprowadzali odliczanie obecności i składali raport kierownikowi szkoły lub nauczycielowi dyżurnemu, prowadzącemu apel.

W klasie spotkał tych samych kolegów, z którymi chodził do szkoły już wcześniej – między innymi Władka Heróda, Ryśka Mitkę, Zbyszka Grudnika, Józka Grzesikowskiego, Jurka Gryglika, Jurka Skware; przybył też Józek Krzywda, który wcześniej chodził do szkoły w Korzkwi i nadal była jedyna dziewczyna – Stasia Sadzik. Po zajęciach lekcyjnych, często grali w piłkę, lub urządzali inne zabawy.

W domu musiał dzielić czas na odrabianie lekcji oraz zmieniać się z Helą, przy zajmowaniu się młodszą siostrą Teresą – gdy mama wychodziła do prac polowych, lub jechała do Krakowa. Pewnego dnia, w listopadzie 1953 r., mama nie puściła ich do szkoły, mówiąc że nie najlepiej się czuje. Była w ciąży – *chyba będą rodzic* – powiedziała. Hela zostanie w domu, a ty musisz iść do Szczodrkowic po „babkę” (tak nazywano wówczas kobietę odbierającą porody). Wy tłumaczyła, jak się nazywa i w którym domu w Szczodrkowicach mieszka. Pobiegł więc przez pola do Naramy i stamtąd do Szczodrkowic, odszukał dom, zapukał do drzwi i gdy je otwarto, zdyszany wykrzyknął: – *moja mama będzie rodzic, chodźcie ze mną!* Kobieta mająca około czterdziestu lat, powiedziała: – *spokojnie; gdzie mieszka twoja mama? Co jej się dzieje?* Odpowiedział: – *na Michałowce; nie wiem co jej się dzieje, ale mówiła: „chyba będą rodzic” i kazała mi do was pobiec.* – *Dobrze* – odrzekła – *pójdziemy tam zaraz, ale musisz trochę odpocząć, jesteś zmęczony.* Podała mu szklanekę gorącego mleka, bo na polu było zimno i kazała wypić. Wyszli z domu. Po drodze wypytywała go o rodziców, o to czy oprócz niego, są też inne dzieci. Przyszli do domu już dobrze po południu. W mieszkaniu było ciepło. Hela ponastawiała na kuchni wodę w dużych garnkach. W pokoju stało świeżo prześcielone łóżko. Na stole leżały białe prześcieradła. Mama kazała, by ją zostawili z babką, zabrali ze sobą Teresę i poszli do Ciotki Walerki lub do Nurków, i żeby nie przychodzili przed nocą. Wrócili już po zmroku. W domu zastali Ciotkę Walerkę, a na łóżku obok Mamy, leżało popłakujące dziecko. Babki już nie było, a oni mieli kolejną siostrzyczkę, której na imię dano Grażyna.

Kierownik szkoły Mietecki, najprawdopodobniej uczył się pedagogiki z podręcznika Makarenki, gdyż uważał, że najlepiej edukować i wychowywać dzieci przez pracę, a szczególnie pracę na jego własnym polu. Jako kierownikowi, przysługiwało mu korzystanie z należącego do szkoły kawałka ziemi, na stoku graniczącym z Zakojcami oraz warzywnik przylegający do boiska sportowego.

Uczył więc biologii jedynie wtedy, gdy ze względu na pogodę, lub zimową porę, nie można było wyprowadzić młodzieży do plewienia, nasadzenia, lub zbierania poziomki, truskawek, warzyw. I chociaż Makarenko zabraniał kar cielesnych, to on nosił ze sobą trzcinkę, którą – gdy ktoś zachował się niegrzecznie – wymierzał karę, uderzając nią po otwartych dłoniach.

Zdarzyło się, że wiosną 1954 roku, zwolnił klasę – do której chodził Marian – do prac polowych. Wyprowadził ich pod szkolne ubikacje i kazał wiadrami wydobywać zawartość dołów kloacznych i wylewać ją w warzywniku. Chłopcy otworzyli drewnianą przykrywą dołu. W powietrzu uniósł się potworny fetor. Wtedy Marian powiedział do kolegów: – *Nie będziemy tego robić. Ktoś z nas może wpaść do tego śmierdzącego dołu. On nie może nam tego nakazać.* Władek Herodów i Zbyszek Grudników podchwycili tę myśl i powiedzieli kierownikowi: – *My chcemy iść na lekcje, nie będziemy gówna wylewać.* Miatecki się zdenerwował. Kazał im podejść i „wyciągnąć łapy”. Każdemu wymierzył po pięć uderzeń trzcinką. Bolało, ale żaden się nie rozpląkał. Marian powiedział: – *jeśli będzie pan nas zmuszał, to pojedziemy do Krakowa i poskarżymy się kuratorowi.* To rozzłościło go jeszcze bardziej. Powiedział: – *Zabierajcie „bety” z klasy i nie pokazujcie się więcej w szkole.* Wszyscy wrócili do klasy po tornistry, a sprawcy incydentu rozplakali się. W sali była lekcja matematyki. Prowadząca ją nauczycielka, zainteresowała się nimi i zapytała co się stało. Opowiedzieli. Uspokoiła ich, mówiąc – *zostaniecie w klasie*” – i wyszła, zadając do rozwiązywania jakieś zadania. Wróciła po kilku minutach i powiedziała: – *Pan kierownik źle zrobił, nie macie obowiązku procować w polu, a tym bardziej opróżniać szamba. Gdyby się to powtórzyło, proszę mnie poinformować.*

Od tego czasu, znacznie rzadziej kierownik wyprowadzał uczniów do pracy w polu, ale trzcinki do karcenia nie zaprzestał używać. Na wywiadówce poskarżył się rodzicom, ale ci nie stanęli po stronie swoich dzieci. Uważali, że uczeń nie może odmówić nauczycielowi, wykonywania jego poleceń.

W sierpniu tego samego roku, gdy mama poszła z owocami do Krakowa, Hela opiekowała się młodszymi siostrami, a ojciec był w pracy – Marian po raz pierwszy wyszedł w pole z kosą i sam kosząc i odbierając – skosił połowę poletka. Oczywiście zrobił tak jak potrafił... dostał później od ojca burę nie za to, że zabrał się za tę niebezpieczną robotę i mógł zrobić sobie krzywdę, ale za to, że pozostawił zbyt wysokie ścierńisko.

Rok później, z początkiem czerwca, gdy już dojrzwały czereśnie, obrał ich dwa dwudziestokilogramowe kosze. Ponieważ ojciec był w pracy, a mama nie mogła z nimi iść do miasta, nikt też z sąsiadów, kto jechał wozem nie miał miejsca na dodatkowy towar, związał oba kosze paskiem, przełożył przez ramę roweru i powędrował do Krakowa, przez: Górną Wieś, Wołę Zachariaszowską, drogą wśród pól do Marszowca i przez Witkowice oraz Biały Prądnik – na plac targowy na Kleparzu, gdzie stały furmanki załadowane owocami i warzywami. Wśród nich chodzili kupujący. Pytali o cenę i o wagę. Targowali się.



Targ w Krakowie dawniej – mmkrakow.pl

Nie stał zbyt długo, gdy jakaś kobieta zainteresowała się jego czereśniami: – *czterdzieści kilo po 10,50* – powiedział. – *Po dziesięć* – odrzekła kupująca. No cóż myślał, że uda mu się zarobić po 50 groszy na kilogramie dla siebie, ale upierała się przy swoim, więc by szybciej wrócić do domu, sprzedał czereśnie po 10 złotych. Wypłaciła należność, a on spakował koszyki na bagażnik, wsiadł na rower i pojechał do domu. Myślał, że mama da mu choć parę groszy na cukierki, lub na coś innego, wynagrodzi za pracę i zaradność – ale nic z tego. Nie dostał ani złotówki.

Tego lata jeszcze dwa razy wędrował z owocami przewieszonymi przez ramę roweru, do Krakowa. Raz mu się nawet udało – kiedy znalazł się na przeciw wyjazdu z podwórka wujka Wicka Nurka, gdy ten akurat wyjeżdżał z owocem do Krakowa, zawiązał go wraz z rowerem i koszykami w jedną i drugą stronę.

W czasie tych wypraw, udało mu się też zarobić dla siebie 50 złotych, bo mamy nie było przy ważeniu czereśni. Obrabiał więc i dosypał do koszyków tak, by było parę kilogramów więcej.

\*\*\*

W 1954 roku Stefan, w dniach wolnych od pracy, ukończył kurs mleczarsko-jajczarski, który dawał kwalifikacje do prowadzenia punktu skupu mleka. Wiosną następnego roku wysprzątał komórkę, wybielił wapnem, wstawił stół i skrzynki z buteleczkami na próbki mleka i uruchomił zlewnię. Ludzie o świcie znosili mleko. On albo jego żona, sprawdzali jego czystość, pobierali pipetą próbkę i wlewali do buteleczki. Mleko w buteleczkach było konserwowane dwuchromianem i raz na tydzień zawożone do spółdzielni mleczarskiej, gdzie sprawdzano procent tłuszczu dla każdego z dostawców. Dostarczane mleko było zlewane do 20 litrowych, metalowych, szczelnie zamykanych baniek i zabierane przez wozaka, który zawoził je do mleczarni. Mleczarnia w ich domu funkcjonowała przez trzy lata.

Niebawem Hela ukończyła podstawówkę i posłała ją na praktykę do krawca na ul. Koletek w Krakowie. Mieszkała



Banieki z mlekiem.



Ks. Marian Pałęga – pierwszy proboszcz Parafii w Michałowicach, budowniczy michałowickiego kościoła.

w tym czasie u Ciotki Józki na ul. Rękawka i przyjeżdżała do domu tylko na niedziele. Kupili jej też maszynę do sycia by mogła ćwiczyć w domu.

Wiosną 1956 roku rozpoczęła się elektryfikacja Michałowic III – właściwie zaprzestawano już wówczas używać nazwy „Michałówka”, a na domach pojawiły się numery domów z napisem „Michałowice”. Ich dom nosił nr 25. Najpierw pociągnięto linię wysokiego napięcia z Michałowic I, przez pola do ogrodu Formickich, w którym nieopodal drogi, postawiono transformator. Później w obu kierunkach drogi, zaczęto wkopywać wysokie, nasączone czarnym terem słupy. Zakładano na nich izolatory, rozciągano sieć, prowadzącą aż pod Wolę Zachariaszowską w jedną, i po Warszawkę w drugą stronę.

Jesienią zakładano instalacje w domach. Przed Bożym Narodzeniem, we wszystkich domach zabłyśły żarówki.

Elektryfikacja napotykała na opór i sprzeciw niektórych ludzi starszych. Uważali, że to jakaś diabelska siła. Często też dochodziło do kłótni między młodymi, którzy nie mogli się doczekać na prąd, a ich rodzicami lub dziadkami. Młodzi mieli słuszne obawy, że jeżeli prąd do ich domostwa nie zostanie doprowadzony, to później będą musieli uczynić to na koszt własny. Kiedy prąd już popłynął i zaświeciły się pierwsze żarówki, starsi żegnali się, chcąc „odgonić diabła”. Zdarzało się w pewnym domu, gdzie po raz pierwszy zaświecono żarówkę, że starsza kobieta wzięła wodę święconą i kropidło, i postanowiła diabła przeświecić. Zamoczyła kropidło w wodzie, machnęła nim w kierunku światła – woda trafiła w żarówkę, która rozprysła się i zgasła. Cieszyła się, że jej się udało. Długo musieli synowie tłumaczyć, że to nie diabeł, ale bardzo pożyteczne urządzenie. Po pewnym czasie przywykła i nawet polubiła ten wynalazek. Wieczorami nie musiała już nadwyręzać oczu, by nawlec nitkę, jak bywało to przy świeczce lub lampie naftowej. Elektryczność dała impuls do wielkiej modernizacji wiejskiego życia. Wprowadzała ludzi w świat prawdziwej cywilizacji.

Zaczęto nabywać sprzęt elektryczny: kuchenki i prądnice; silniki elektryczne do napędzania wialni, siewczarni i innych urządzeń; parniki do parowania ziemniaków na paszę dla zwierząt i oczywiście odbiorniki radiowe, które dzieciaki i młodzież, wiosną i latem wystawiali w oknach, by słyszeć muzykę na podwórku, a nawet w polu.

W tym samym czasie inna ekipa robotników zakładała na domach i zabudowaniach gospodarskich piorunochrony. Co zamożniejsi gospodarze, przy tej okazji zmieniali strzechy na pokrycie dachówką, lub eternitem.

Po październiku 1956 roku zniesiono obowiązkowe dostawy dla gospodarstw poniżej 3,5 hektara, a większym zmieniono kontraktację zbóż, owoców i mięsa – na nieobowiązkową. Coraz powszechniej zaczęto stosować nawozy sztuczne i środki ochrony roślin.

Do szkoły wprowadzono religię. Na Wolę przywożono na te lekcje ks. M. Pałęgę z Michałowic. Był on wyjątkowym księdzem i pedagogiem, i szybko pozyskał sympatię uczennic i uczniów. Stąd też, gdy pod koniec 1956 roku parafia w Michałowicach otrzymała zgodę na budowę kościoła, młodzież zachęcała rodziców do ofiarności, a także do zmiany parafii. Do Michałowic, na nabożeństwa zaczęto chodzić nie tylko z Michałowic III, ale także z Woli Zachariaszowskiej i części Górnej Wsi.



Cegielka – projekt kościoła w Michałowicach.

W 1957 roku, gdy projekt kościoła był już gotowy, rozprowadzano cegielki na jego budowę. Dnia 29 czerwca 1958 r. – arcybiskup E. Baziak, w obecności parafian i licznych gości z sąsiednich parafii, dokonał wmurowania kamienia węgielnego w fundamenty kościoła, wraz z aktem erekcyjnym parafii.

Nowy rok szkolny we wrześniu 1956 rozpoczął się od uroczystego apelu, na którym po raz pierwszy zaśpiewano hymn harcerski: „Wszystko co naszej Polsce oddamy...”. Od tego czasu, apele nie odbywały się już codziennie, tylko z okazji uroczystości szkolnych i państwowych. Był to ostatni rok nauki Mariana w szkole podstawowej. Musiał, tak jak jego koledzy, myśleć o tym – co dalej? Prawie wszyscy po podstawówce, chcieli zdobyć jakiś zawód. On przyjaźnił się w tym czasie z Józkiem Krzywdą. Obaj byli ministrantami i rozmawiali o tym, że może dobrze byłoby wybrać stan duchowny. Podzielili się z tym pomysłem z prowadzącym w szkole lekcje religii ks. Marianem Pałęgą. Powiedział im: – *Jeżeli tak czujecie, jeżeli macie przekonanie o powołaniu, to jest taka możliwość, żeby swoją drogę określić już po tej szkole.*

Właśnie niedawno dowiedziałem się, że w Krakowie u Księża Misjonarzy otwarto Małe Seminarium Duchowne dla absolwentów szkół podstawowych – rodzaj prywatnego liceum, przygotowującego równocześnie do seminarium wyższego. Wybierając je, nic nie tracicie, bo nawet gdybyście później zmienili zdanie, to po maturze, możecie iść na inne studia.

Nie pytali, więc im nie powiedział, że za pobyt w tej szkole trzeba płacić i że nie ma ona praw szkoły publicznej, tzn., że po jej ukończeniu, aby iść na jakieś inne studia, będą musieli zdawać maturę eksternistyczną ze wszystkich przedmiotów, przed komisją państwową.

Zapytali jedynie o adres. Podał im: Kraków ul. Filipa 19 i dodał: – *Gdyby wam była potrzebna ode mnie opinia – chętnie ją napiszę.*

Po zakończeniu nauki w czerwcu 1957 roku i otrzymaniu świadectwa, wybrał się przeto Marian wraz z rodzica-



Kościół pw. Św. W. à Paulo w zespole klasztornym Ks. Misjonarzy – Kraków, ul. Św. Filipa 19 (Wikimedia Commons).

mi, pod wskazany przez katechetę adres. Zostali przyjęci w refektarzu przez księdza Dyrektora Seminarium – Franciszka Bimę. Najpierw rozmawiał z rodzicami, później z nim. Pytał o zainteresowania i motywacje. Po wysłuchaniu powiedział: – *Napisz podanie o przyjęcie, dołącz do niego akt urodzenia i chrztu, zaświadczenie o przystąpieniu do pierwszej komunii oraz opinię proboszcza i katechety.* Do rodziców: – *Przyjdźcie z synem i papierami na rozmowę za tydzień. Wtedy zdecydujemy.*

Po powrocie odwiedził Józka Krzywdę i dowiedział się, że – podobnie, jak oni – do tej samej szkoły wybierają się Staszek Kolarski z Trojanowic.

Podczas kolejnej rozmowy w Seminarium, Ks. Dyrektor przejrzał dokumenty i poinformował, że zostali przyjęci. Dał im też wykaz ubrań, pościeli i innych przedmiotów, które powinni ze sobą przywieźć z początkiem roku szkolnego, do internatu. Pościel i ubrania miały być oznaczone wyszytymi monogramami, by nie pogubiły się w pralni. Poinformował też, że szkoła jest placówką zamkniętą. Do domu będą mogli jeździć tylko na wakacje, ferie i w okresie świąt. Poza bramę szkoły można wychodzić tylko zbiorowo, na wycieczki. Wszelka korespondencja będzie czytana i kontrolowana – zarówno przychodząca, jak też wychodząca. Napisany list, z przyklejonym znaczkiem, otwarty – powinien być wrzucony do skrzynki przy gabinecie ks. Prefekta. Również Prefektowi należy przekazać wszelkie pieniądze do tzw. kasy osobistej, z której w razie potrzeby pobierać można będzie niewielkie kwoty.

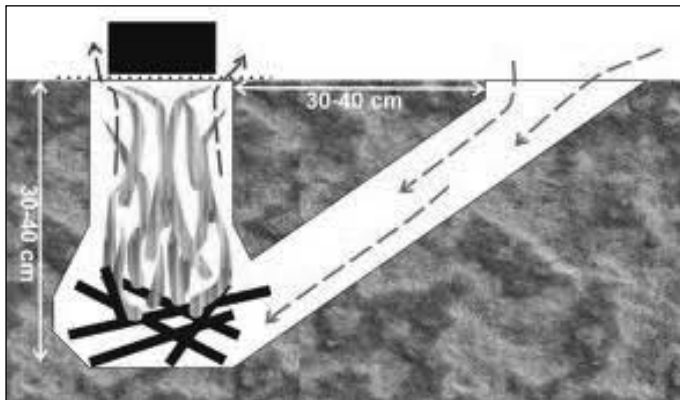
## Rytm życia

W Michałowce, podobnie jak w Reymontowskich Lipcach, rytm życia wyznaczały zarówno obowiązki gospodarskie, obyczaje – osadzone w tradycji, jak też nowo tworzone – oraz kalendarz powinności religijnych, które nie zawsze można było nazwać rzymskokatolickimi. Tak też, jak u Reymonta, oba porządki brały początek w jesieni. W niej bowiem dobiegał końca cykl rolniczy i rozpoczął się nowy, jak też kończył się i równocześnie zaczynał rok liturgiczny. Zbierano więc z pól i ogrodów wszystko, co zrodziła natura.

Kopano ziemniaki, zbierano jarzyny – marchew, pietruszkę, buraki ćwikłowe i pastewne, zwożono je i zabezpieczano na zimę w piwnicach lub kopcach ziemnych. Zbierano i zwożono kapustę, a równocześnie orano i sia-



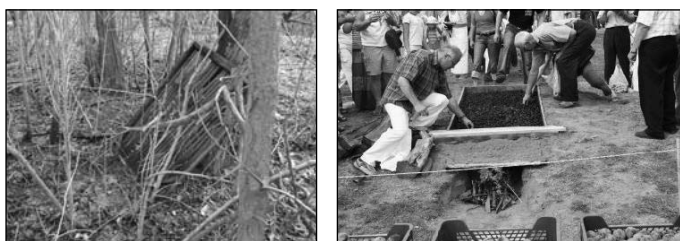
Wykopki.



Ziemny piec z paleniskiem i postawionym na nim garnkiem, zasada jego działania oraz smażenie powidel.

no oziminy, których wschodzenie i wzrastanie wróżyło dobre lub słabe polny w przyszłości. Zielone poletka oziminy oznaczają dla chłopów rozpoczęcie nowego roku. Grabiono opadłe liście w sadach, wysypując je na kompostowiska, lub też ogacając nimi ściany domostw i obory, by zabezpieczyć je przed utratą ciepła, gdy nadejdzie zima. Smażono powidła w wielkich kotłach, umieszczonych na ziemnych paleniskach, lub w domu – w żeliwnych garnkach.

Suszono śliwy i gruszki, w specjalnie zbudowanych połowych suszarniach na „laskach”. Ich dno wyplecione było z wikliny lub wykonane z wierzbowych albo leszczynowych kijków. Napelnione owocami – umieszczano nad paleniskiem, w którym palono drewnem, pozyskiwanym najczęściej z obciętych i wyschniętych konarów drzew owocowych.



Relikty i pozostałości z suszarni owoców – jak ta zmurszała „laska” (fot. po lewej).

Dym unoszący się z pól, na których palono ogniska z ziemniaczanych badyli, mieszał się nad wioską z dymem z palenisk spod kotłów i „lasek” oraz z oparami prażonych śliw i suszonych owoców, tworząc niepowtarzalny bukiet zapachów.

W sadach obcinano gałęzie drzew owocowych. Wyłamywano zeschnięte lodygi malin, a gdy przyszły mrozy, szatkowano kapustę i układano w beczkach do kiszenia, soląc i udeptując bosymi nogami.

W gospodarstwach, w których hodowano kaczki i gęsi, zbierały się kobiety na skubanie pierza. Była to dobra

okazja dla wymiany doświadczeń, wspomnień i plotek, do opowieści o duchach i strachach, o chorobach i lekarstwach na nie.

Rozmawiano też o odczynianiu uroków i cudownej żywej wodzie, która pomaga w stanach beznadziejnych, ale trzeba po nią wędrować aż do tajemniczego źródła w Gorenicach. Był tam znachor, który sprawdzając moc, określał choroby i dawał na nie zioła. Gdy kończono skubanie, organizowano „wyskubek,” na który zapraszano dziewczęta i chłopców. Czasami pojawiał się jakiś muzykant z harmonią lub skrzypcami. Rozmawiano, pito alkohol, tańczono niekiedy do samego rana. U gospodarzy, którzy hodowali owce, dziewczęta „skubały” lub gręplowały wełnę i przędły włóczkę na kołowrotkach.

Przez dom Gienki i Stefka, przewijało się w tym czasie wielu ludzi. Był to bowiem czas wszechstronnego majsterkowania. To należało komuś zrobić drzwi czy okna, innym razem – jakiś mebel lub urządzenie potrzebne w gospodarstwie. To znowu komuś podzelać, albo podkuć buty czy też naprawić zegar ścienny lub zegarek.

Poprawa sytuacji materialnej i częsty kontakt z miastem sprawiały, że ludzie coraz częściej nabywali zegarki i zegary, najczęściej bardziej lub mniej uszkodzone. Stefan, nie wiadomo gdzie i kiedy, nauczył się je naprawiać. Zresztą on potrafił wszystko – „złota rączka”. Głosił zasady, które mu w tym pomagały: nie święci garnki lepią; jak człowiek coś zrobił i zepsuł, lub samo się zepsuło, to i naprawić człowiek potrafi – trzeba tylko dobrze poznać rzecz i znaleźć lub wymyślić potrzebne do tego narzędzia. W szufladach było zatem pełno części do zegarów i zegarków: kółek zębatach, sprężyn, włosów, osiek, kopert niklowanych i srebrzonych, okulary, pilniki i pilniczki; różnej wielkości śrubokręty. Bywało, że w izbie stały trzy zegary szafkowe, z pięknymi cyferblatami, mosiężnymi wagami i wahadłami; trzy inne wisały na ścianach, a oprócz tego znalazło by się jeszcze parę budzików. Zdarzały się nieprzespane noce, gdy te zegary – najczęściej już naprawione – o równej godzinie zaczynały dzwonić, kukać, brzęczeć.

Tak było w domu aż do wiosny.

Jak tylko zeszedł śnieg i ziemia obeschnęła, zaczynała się praca w ogrodzie i jego otoczeniu. Rozbierano gać i odsłaniano ściany domów. Bielono wapnem pnie drzew i spryskiwano nim krzewy agrestu i porzeczek. W inspektach, przygotowywano rozsądę kapusty i kalafiorów, wysiewano pomidory i paprykę. Plewiono poletka truskawek i poziomek. Zakładano gniazda dla wylęgu kurcząt, kacząt i gęsi. Nieco później wychodzono w pole, by je zorać i zasiać uprawami jarymi. Sadzono ziemniaki, zagospodarowywano warzywniki. W pracach uczestniczyli wszyscy – dorośli i dzieci, z wyjątkiem niemowląt.

Krajobraz wsi się zmieniał – piękniał. Zakwitały śliwy, grusze, czereśnie i wiśnie oraz jabłonie. Powietrze nappełniało się zapachami. Wszystko stawało się piękne jak w Arkadii. Gdy przekwitały drzewa owocowe, zakwitały krzewy bzu, kaliny, głógów. Wśród kwiecica brzęczały pszczoły i inne owady.

Pod koniec maja rozpoczynał się zbiór czereśni. Najpierw zrywano majówki, później orleanki, miodówki, czarną chromę, balicką. Obierali dorośli i dzieci. Dorośli po drabinkach, a dzieciaki wspinały się na drzewa, cho-

dziły po gałęziach w ich koronach, z koszykami lub wiaderkami, do których zrywano owoce. Zsypywano je do dużych, 20-kilogramowych koszy. Kto miał konia – wioził owoce na Kleparz w Krakowie, kto nie miał – korzystał z uprzejmości tych, którzy go mieli, lub też zawieszał kosze na ramie roweru i tak wędrował z nimi do miasta. Czasem kobiety obwiązywały kosz prześcieradłem, zakładały na plecy i tak obciążone nosły do podmiejskiego autobusu w Witkowicach, który dojeżdżał do Kleparza.

Później odbywał się zbiór truskawek i poziomek, z którymi postępowano podobnie.

W tym samym czasie, doglądano wylęgłych kurcząt, kacząt i gąsiąt. Okopywano lub obradlano ziemniaki. Koszono trawy i koniczynę na siano. Nikt nie miał czasu na próżnowanie, tym bardziej, że dzieci chodziły jeszcze do szkoły, tęskniąc za wakacjami. Sad przygotowywał kolejne zajęcia. Dojrzewały bowiem maliny, agrest i porzeczki a następnie śliwy, gruszki, jabłka i tak aż do końca lata, trzeba było się trudzić, by zarobić na ubrania, na obuwie, na przedmioty potrzebne w gospodarstwie, i na jakieś drobne przyjemności.

W drugiej połowie lipca zaczynały się żniwa. Żniwa, młocka i orka ściernisk – kończyły okres lata i zamykały powoli rok rolniczy.

Na kalendarz prac w polu i w ogrodzie nakładał się jednak jeszcze inny rytm życia – obrzędowo-liturgiczny, mający swe źródła w tradycji i religii. Tu wciąż jeszcze w sposób dość wyraźny spletały się ze sobą elementy jakieś starej religii praprzodków z religią rzymskokatolicką; mało już znane obrządki – ze świętami chrześcijańskimi. Jeszcze proces inkulturacji się nie zamknął, pomimo, że księża starali się walczyć „z pogańskimi naleciałościami”, próbując te najbardziej odporne „ochrzcić” i zaakceptować. Opisanie niektórych spośród nich, byłoby niemożliwe bez wiedzy, jaką na ten temat przekazywała Marianowi jego sędziwa prababcia, ze strony matki. Umarła w latach sześćdziesiątych XX wieku, mając ponad dziewięćdziesiąt lat. Pamiętała więc czasy wieku XIX – które przedstawione zostaną zgodnie z jej przekazem, w oparciu o własne obserwacje i doświadczenia Mariana – bez konfrontacji z treścią opracowań Kolbergera czy Zofii Kossak-Szczuckiej.

\*\*\*

Nowy rok liturgiczny w Kościele, zaczynał się właściwie w październiku, nabożeństwami różańcowymi, w których uczestniczyły głównie kobiety i to zazwyczaj starsze. Pod koniec października, przygotowywano się do Zaduszek. Sprzątano na cmentarzach. Porządkowano groby, przyozdabiając je zielonymi gałązkami, układanymi z kasztanów, żołądzi, śnieguliczek. We Wszystkich Świętych ludzie modlili się w kościele, rzadko kto odwiedzał cmentarz. Dopiero w Dzień Zaduszny, późnym popołudniem spieszono do kościoła w Naramie, bo do tej parafii należała Michałowka i znaczna część mieszkańców Górnej Wsi.

Pozostali, z Górnej Wsi – należeli do parafii w Korzkwi.

W Naramie, za szkołą, nie zbyt daleko od kościoła w pobliżu Naramskiego Lasu, był cmentarz i groby bliskich.

O zachodzie słońca, w kościele odbywały się egzekwie – żałobne nieszpory w intencji wszystkich zmarłych, celebrowane przez proboszcza ubranego w żałobną kapę. Przed ołtarzem, na katafalku ustawiona była symboliczna trumna, używana tylko na okoliczność Dnia Zadusznego. Śpiewano psalmy i pieśni w intencji zmarłych. W kościele panował półmrok, rozświetlony jedynie świecami. Po nabożeństwie, przed kościołem ustawiała się procesja, podobna do konduktu żałobnego. Na jej przodzie niesiono krzyż, za nim chorągiew żałobną, dalej – szedł ksiądz w tej samej żałobnej kapie, w której odprawiał egzekwie. Za nim, niesiono ową symboliczną trumnę. Za trumną szli ludzie z naftowymi latarniami i świecami. Po drodze do cmentarza śpiewano pieśni. Na cmentarzu, procesja przechodziła główną aleją i zwracała do bramy cmentarnej. Tu rozwiązywała się. Ksiądz, organista i kościelny wracali na plebanie. Wierni zostawali na cmentarzu i gromadzili się przy grobach bliskich. Zapalali światła, modlili się. Wielu zostawało, by czuwać, aż minie północ. Mieli ze sobą jedzenie i picie – podobno po to, by podzielić się nim z duchami zmarłych. Po Zaduszkach, niektórzy we wsi opowiadali, że na cmentarzu spotkali duchy bliskich osób, że niektóre z nich udzielały im rad, przestróg, ostrzeżeń. Bywało ponoć, że namawiały do zawarcia zgody z kimś z rodziny lub wioski. Opowiadano też, o ukazaniu się dziewczyny w ślubnym stroju z welonem na głowie. Mówiono, że to duch jakieś parafianki, której narzeczony zginął tragicznie w dniu ślubu. Ktoś z nią nawet rozmawiał... i mówił, że oczekuje ona, udzielenia jej ślubu, na grobie ukochanego...



Św. Paweł – gotycki obraz z ok. 1460 r., mal. Jan z Nysy – ze spalonego kościoła w Naramie (zaginiony).



Kościół pw. Św. Jana Chrzciciela w Korzkwi.



Oto obchodzimy Dziady!  
Zstępujcie w święty przybytek;  
Jest jałmużna, są pacierze,  
I jedzenie i napitek”



Czego potrzebujesz duchu młody?  
Czy prosisz o chwałę nieba?  
Czyli o święcone gody?  
Jest dostatek mleka, chleba,  
Są owoce i jagody



Stała w miejscu, grobowej podobna kolumnie;  
Potem biegła, jak lekkie zefiru powiewy.  
Oczy zwrócone w ziemię...nie spojrziała ku mnie!

Dziady – cz. II, A. Mickiewicz; rys. Czesław Jankowski.

Będąc dzieckiem, Marian niewiele rozumiał z obrzędów Dnia Zadusznego. Owszem, sprzątanie grobów bliskich i odwiedzanie ich – tak, tym bardziej, że spoczywał tu jego dziadek i brat, ale egzekwii odprawianych w kościele i procesji z trumną na cmentarz, ani też pozostawiania tu przez niektórych, aż do północy – nie. Rodzice, znacznie tych zwyczajów też nie bardzo potrafili mu wyjaśnić. Prababcia mówiła, że egzekwie i procesja na cmentarz, to symboliczny pogrzeb dla tych, którzy zginęli bez wieści, lub nie zostali w sposób godnych pochowani. Prawdziwy sens tej ceremonii rozumiał dorastając, dzięki lekturze: Mickiewiczowskich *Dziadów*, *Antyfony* Sofoklesa; powieści o powstaniach narodowych oraz I i II wojnach światowych, wierszy Czesława Miłosa – *W Warszawie*, Tadeusza Różewicza – *Ocalony*.

Przecież po okrutnej wojnie, która tylko co minęła, sens tego symbolicznego pogrzebu był szczególny. Po latach dopiero uświadomił sobie, że ludzie, którzy szli za trumną, odziani w żałobę, płaczący w czasie uroczystości – to matki, żony, siostry lub bracia tych spośród parafian, którzy nie wrócili z wojny, i nawet jeśli wiadomo było, że zginęli – nie żyją, to rodziny nie miały możliwości sprawienia im godnego pochówku.

W noc Andrzejkową zbierały się po domach panny, by sobie wróżyć. Wróżyły z lanego wosku czy też z butów, układanych od okna pokoju do wyjścia z domu. Ta, której but jako pierwszy przekroczył próg, mogła spodziewać się zamążpójścia. Wróżono ze szczekania i ujadania psów – kawaler nadejść miał z tej strony, z której rozlegnie się szczekanie. Jeżeli słyszano rwestes gryzących się psów, wróżono, że kawalerowie pobiją się o pannę, lub – że we wsi grożą w ciągu najbliższego roku kłótnie i swary.

W kościele rozpoczynał się adwent – wówczas o wschodzie słońca odprawiano roraty. Tak więc, jeszcze nocą wychodzono z domów z latarniami, a niekiedy już latarkami elektrycznymi i wędrowano – często przez zaśnieżone już

pola do Naramy. Oczywiście, najważniejszym był dzień 8 grudnia – święto Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Po nim rozpoczynały się przygotowania do Świąt Bożego Narodzenia.

Przygotowywano się w domach. Sprzątano, pieczono ciastka na choinki, przygotowywano ozdoby – najczęściej wyrabiane ze słomek owsianych, przeplatanych kolorowymi bibułkami, pająki, świąty z kolorowych opłatków. Owijano orzechy w staniol. Wybierano najbardziej kolorowe jabłka. W końcu, ucierano mak na makowce i pieczono ciasta. We wsi wieczorami można już było usłyszeć kolędy – to u kogoś w domu, kolędnicy przygotowywali się do występów.

Najważniejszy był wieczór wigilijny. W ów wieczór, tylko w najbogatszych rodzinach podawano 12 potraw. W tych okolicach, nie było na stołach ryb. W domach biedniejszych, ograniczano się do paru potraw. Najczęściej były to: kapusta z grochem, zupa grzybowa, kluski z makiem i kompot z suszonych owoców.

Przed wieczerą, ubierano choinkę, którą bądź to przywieszano na tragarzu u powały, bądź też – jeżeli izba była dostatecznie duża – ustawiano przy oknie. Na choince umieszczano owoce, słodczyce – głównie ciastka, a jeżeli ktoś miał, to także szklane bombki. Zawieszano ozdoby słomkowe i łańcuchy. Na gałązkach, w specjalnych uchwytach przypinano świece. Gdy choinka była już ubrana i wszyscy wykapani, a stół nakryty do wieczerzy – oczekiwano na ukazanie się pierwszej gwiazdki na niebie. Izby rozświetlały lampy naftowe i świece. Wraz



Tradycyjna polska choinka.

z pojawieniem się gwiazdy, zbierano się wokół stołu, na który oprócz potraw wyłożone były opłatki. Najstarsza w rodzinie osoba, rozdawała opłatki wszystkim domownikom, którzy kolejno podchodzili do niej z życzeniami. Później składali sobie życzenia nawzajem. Posiadały one stałą, niczym mantra formułę: „Życzę Ci zdrowia, szczęścia, fortuny, a po śmierci w niebie korony”.

Osoba składająca życzenia, odrywała kawałeczki z opłatka tego, komu je składała.

Były to oczywiście cztery kawałeczki, bo tyle było życzeń. Odłamany opłatek zjadano, a następnie podchodzono do kolejnej osoby i powtarzano całą ceremonię. Gdy wszyscy złożyli już obie życzenia – zasiadano do wieczerzy.

Dopiero, później, gdzieś w latach sześćdziesiątych, formuła ta poczęła zanikać, na rzecz tekstów układanych indywidualnie.

Ten dzień i wieczór przesilenia jesienno-zimowego, posiadał jeszcze inne uroki.

Wiązano z nim różne wróżby i przepowiednie. Dobrze było jeżeli do domu zawitał jakiś sąsiad, czy gość i jeżeli był to mężczyzna. Pojawienie się, jako pierwszej – obcej kobiety, wróżyło najczęściej waśnie i nieszczęścia. Zdecydowanie lepiej rokowały odwiedziny mężczyzny... W niektórych domach, po wieczerzy, wnoszono do izby snop zboża. Stawiano go w kącie i siadano wkoło niego. Zawiazywano kolejno oczy i ten, kto miał je zasłonięte, wyciągał ze snopka źdźbło zboża, chwytając je tuż pod kłosem. Jeżeli znajdujący się na nim kłos był pełny i po zamknięciu w dłoni wystawał ponad nią, wróżyło to urodzaj w polu, dostatek i zdrowie; jeżeli źdźbło wyciągnęła panna lub kawaler i liczba ziaren w kłosie okazała się parzysta – wróżyło zamążpójście lub ożenek, w nadchodzącym roku. Jeśli słoma źdźbła była nadłamana, oznaczało to jakąś chorobę – podobnie, jeżeli w kłosie żyta, znalazł się sporysz – oznaczało to chorobę lub śmierć wśród bliskich. Trudno wyliczyć wszystkie wróżby, ale długo siedziano tak i wróżyło, aż do chwili, kiedy o północy należało wyjść na pasterkę do kościoła.

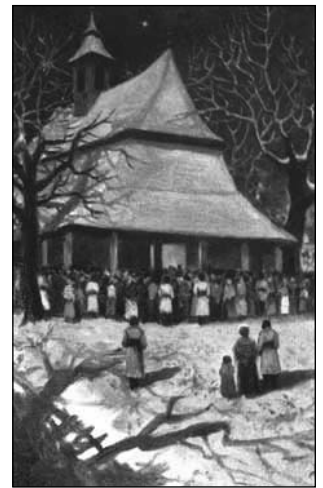
Wszyscy, ubierali się wówczas w odświętne stroje, chociaż nie było ich widać spod płaszczy czy kożuchów. Zabierali ze sobą latarnie lub latarki – mimo, że noc często księżycowa, rozgwieżdżone niebo i biel śniegu, dawały tyle jasności i blasku, że dodatkowe oświetlenie było zbędne. Po pasterce, kolędnicy rozpoczynali swoją wędrówkę po wsi. Oczywiście na razie symbolicznie zaśpiewali pod oknem dwóch lub trzech domów. Będą mieli czas, by obejść swoją, a może i sąsiednie wsie – z nim nadejdą zapusty.

\*\*\*

Tradycja kolędnicza miała swój długi żywot, a prezentowana treść i forma przedstawień, trwa od czasów międzywojennych. Grupa kolędnicza składała się: z Anioła, Diabła, Śmierci, króla Heroda, Ułana, Turka, Żyda i kozy (oczywiście aktora przebranego za kozę), organisty grającego na akordeonie. Stroje kolędników były bajecznie kolorowe. Ułan nosił mundur i czapkę oraz szablę przy boku. Turek miał obcisłe kolorowe spodnie, ozdobioną świecidełkami bluzę, ogromną czapkę w formie rogu, przybraną drobnymi i grubszymi bombkami choinko-

wymi oraz dzwoneczkami. Podobnie jak Ułan, miał przypiętą szablę, tyle że nie prostą, ale zakrzywioną. Szable były autentyczne, a nie jakieś tam atrapy. Króla Heroda zdobił oczywiście szkarłatny płaszcz ze złoconymi obszyciami, złota korona, ozdobiona licznymi świecidełkami i berło. Żyd, w chałacie ze lśniącego materiału, miał maskę z brodą, zwój papieru i kawałek rurki z czarnej gumy. Diabeł odziany był w skórę, maskę z czerwonymi rogami i ogon. Śmierć, spowita w białe prześcieradło, posiadała trupa maskę i kosę z drewnianym ostrzem, owiniętym błyszczącą, srebrzystą folią aluminiową.

Kolędowanie rozpoczynali o zmierzchu. Podchodzili pod okna domów. Dzwonili dzwoneczkami obwieszczając: – *Stała się nam nowina, w Betlejem Panna urodziła syna.* Organista grając na akordeonie, intonował kolędę i wszyscy śpiewali. Zwykle towarzyszyła kolędnikom, grupka dzieciaków i młodzieży, śpiewających wspólnie z nimi. Następnie, oczekiwali chwilę na wyjście kogoś z domowników, podziękowanie i datek pieniężny, lub na zaproszenie do izby – z przedstawieniem. Po podziękowaniu i otrzymaniu datku śpiewali: – *Za kolędę dziękujemy, zdrowia szczęścia wam życzymy na ten nowy rok.* Gdy nie doczekali się podziękowania i nagrody, odchodzili ze śpiewem: – *u powały wisi sadło, proście Boga aby spadło.* W domach, gdzie zwykle wpuszczano ich na przedstawienie, oczekiwali znajomi gospodarzy i wiele dzieci z wioski. Wchodził wówczas Anioł i dzwoniąc dzwoneczkiem jeszcze raz obwieszczał radosną nowinę. Proszono o krzesło dla króla Heroda. Ustawiano je na środku izby. Herod siadał. Rozpoczynał Ułan słowami: – *Jam Ułan dzielny powracam z wojny...* i opowiadał gdzie z kim walczył i jakie odnosił sukcesy. Pod koniec opowieści, stawał naprzeciw niego Turek z obnażoną szablą. Ułan dobywał swojej – odbywał się krótki, zaimprovizowany pojedynek na szablę. Krzyżowali je z sobą, uderzając w taki sposób, że aż iskry leciały. W walce Ułan zostawał raniony – śpiewano wtedy piosenkę – *O ułanie i kalinie.* Po tej scenie, rozpoczynał się nad Herodem sąd, który kończył się pojawieniem Śmierci z kosą i zaimprovizowanym ścięciem głowy oraz porwaniem króla do piekła przez diabła – ze słowami: *za twe grzechy za twe zbytki, chodź do piekła boś ty brzydki.* Aktorzy zabierali krzesło – tron Heroda – i usuwali się w kąt izby, zostawiając pusty środek. W drzwiach izby pojawiał się, stojący dotąd w sieni, Żyd z kozą. Kozą biegła po izbie. Boda – głównie panienki. Żyd wchodził na środek, rozwijał zwój papieru, udawał że go czyta, coś mało zrozumiałe mamrotał, kiwał się przy tym i uderzał w zwój gumy. Kozą chwiała się na nogach, aż w końcu padała. Śmierć groziła jej kosą, sugerując obcięcie głowy. Rozlegały się okrzyki: *koza ci zdechła....* Żyd starał się ją przywrócić do życia. Podnosił, podpierał, ale ona znowu padała. Wtedy gospodarz lub gospodyni podchodzili do



„Pasterka”.



Kolędnicy małopolscy (Wikimedia Commons).

niej i dawali lekarstwo. Był to kieliszek wódki. Koza wypijała. Wstawała na równe nogi i rozpoczynała na nowo harce. Żyd wyprowadzał kozę. Jeżeli w izbie było dużo młodzieży, dzieci rozchodziły się do domów, panny i kawalerowie zostawali.

Gospodarze stawiali na stół poczęstunek i alkohol. Rozpoczynały się tańce i zabawa trwająca do świtu. Jeżeli nie było młodzieży i woli do zabawy, przedstawienie kończono, składając podziękowanie za kolędę, życząc gospodarzom zdrowia, pomyślności, urodzaju – oczywiście w długiej, rymowanej przyspiewce.

Bywało, że za oknami pojawiały się inne grupy kolędników z okolicznych wiosek. Niekiedy dzieci z szopką, niekiedy kolędnicy z gwiazdą i turoniem. Ci jednak nie dawali żadnych przedstawień, tylko śpiewali kolędy.

Karnawał kończył się ostatkami. Wtedy dzieci przebierały się za drobów lub drabów. Ubierały się w skórzane kubraki, futerkiem na wierzch, przepasywały się powróslami. Twarz smarowały sadzą i chodziły od domu do domu zbierając jaja i datki. W Zielonkach i Bibicach przebierały się za „pucheroków”, ubierając kolorowe, zrobione z bibuły czapy. Tam też pojawiała się Siuda Baba.

Należy jednak wspomnieć jeszcze o innych uroczystościach kościelnych pomiędzy Wigilią a końcem karnawału. W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia – w św. Szczepana, ludzie na sumę przychodzili z torebkami ziaren owsa. Ksiądz po zakończeniu liturgii Mszy św., święcił owies, a wychodzący z kościoła obsypywali się nim – to na pamiątkę kamieniowania Szczepana przed Świątynią



Siuda Baba – zwyczaj wielkanocny, nawiązujący do słowiańskich obrzędów wypędzania zimy – obchodzony w Poniedziałek Wielkanocny.

Jerozolimską, za bluźnierstwo, zawarte w stwierdzeniu, że: *Bóg nie mieszka w dziełach rąk ludzkich*. Obsypanie owsem wróżyło szczęście, a w polu urodzaj, pannom zaś – zamążpójście.

Przygnębiające były nieszpory w ostatnim dniu roku. Zbierano się już po zmroku. Celebrował je ksiądz ubrany w adwentową – fioletową kapę. Wygłaszał kazanie o Żydach, którzy zamordowali Jezusa, po czym rozpoczynały się modły o nawrócenie Żydów, przeplatane śpiewaniem

psalmów. Uroczystość była tym mroczniejsza, że ksiądz ani słowem nie wspominał o wydarzeniach tylko co minionej wojny, ani o holokauście. Z nabożeństwa o nawrócenie Żydów, zrezygnowano dopiero w czasach II Soboru Watykańskiego.

W Trzech Króli, na wieczornym nabożeństwie, pojawiały się w kościele grupy kolędników z całej parafii.

\* \* \*

Po Środzie Popielcowej, rozpoczynał się Wielki Post, w czasie którego nawet w niedziele nie jedzono potraw mięsnych, nie używano smalcu lecz oleju lub margaryny, w kuchni królował nieokraszony żur z ziemniakami.

Drugiego lutego obchodzono święto Matki Boskiej Gromniczej. Rankiem kobiety zabierały z domu świece i szły do kościoła na Mszę. Po zakończonej liturgii, ksiądz święcił gromnice, a kościelny zapalał od wiecznej lampki ogarek i zapalał nim świecę najbliższej stojącej. Od niej zapalano następne. Po skończonym nabożeństwie, te które mieszkały bliżej, osłaniając płomień, niosły gromnice do domów. Mieszkające dalej – gasiły je. Po przyjsciu do domu wstawiano świece w specjalnie przeznaczone dla niej miejsce. Pełniła ona w domu bardzo ważną funkcję, chroniąc przed złym, przed zarazą, chorobami, przed uderzeniami piorunów. Gromnicę stawiano i zapalano przy ciężko chorym. Gdy nadciągała burza, ustawiano ją w oknie, zapalano, klękano i modlono się. Śpiewano też pieśni nabożne: „Pod Twą obronę”, „Ojciec na niebie” czy „Kto się w opiekę odda Panu swemu”. Dodać należy, że bardzo lękano się burzy. Większość zabudowań była wtedy kryta strzechą i do połowy lat pięćdziesiątych, na żadnym z zabudowań nie było piorunochronu. Zdarzało się bardzo często, że w czasie burzy tu i ówdzie wybuchały pożary od uderzenia pioruna.

W okresie postu, chodzono do kościoła na Drogę Krzyżową a w niedziele po południu – na „Gorzkie Żale”.

Wielki Tydzień rozpoczynała niedziela palmowa. Przynoszono na nią gałązki wierzby z baziami związane łożyną. Później, pod koniec lat pięćdziesiątych, zaczęto przynosić palmy przyozdobione suchymi, barwionymi trawami i nieśmiertelnikami. Po powrocie do domu nie wnoszono ich do izb, ale przed wejściem do domu, każdy z domowników odrywał po trzy baze i zjadał. Palmę wieszano pod zadaszeniem na ścianie zewnętrznej domu. Istniał bowiem przesąd, że palma wniesiona do domu, gromadzi w nim owady, przede wszystkim muchy.

Prababcia Mariana opowiadała, że z palmami był i jest kłopot, i nie od razu zaakceptowane zostały przez kościół, pomimo, że obchodzono już „niedzielę palmową”, upamiętniającą triumfalny wjazd Jezusa do Jerozolimy. Jeszcze za jej młodości, czyli przed końcem XIX wieku, palmy były znane z zupełnie innego obrzędu. W dniu przesilenia zimowo-wiosennego, który przypadał w marcu – młodzież żeńska i męska, tuż po południu gromadziła się w źródłanych dolinach, tam gdzie zwykle rosły wierzby. Chłopcy wchodzili na drzewa, lub też z ziemi zrywali wierzbowe gałązki z baziami. Po kilka gałązek obwiązywali łożyną (paskami młodej kory z wikliny lub wierzby). Gdy każdy z uczestników zgromadzenia miał już tak sporządzoną palmę, ustawiano się w kręgu wokół źródła. Krążąc tanecznym krokiem, śpiewano pieśni

o słońcu ogrzewającym ziemię, o ciepłym wietrze, który nadchodzi, o piorunie, który w ziemię uderzy, by rodziła plony (...).

Po zakończeniu śpiewów i tańców, moczono wiązki wierzbowe w wodzie źródlanej, po czym każdy odrywał po trzy bazie i połykając je po kolei, mówił: *przeciwko nieszczęściu, przeciwko chorobie, na zdrowie*. Gdy uczynili to wszyscy, dziewczęta rozbiegały się, a chłopcy goniąc za nimi, uderzali je wiązkami po łydkach, wykrzykując: *nie ja biję, wierzba bije: na zdrowie, na wzrastanie, na szczęście!*

Palmy przynoszono do domów i tu domownicy, którzy nie brali udziału w obrzędzie – dorośli i dzieci – obrywali dla siebie po trzy bazie i połykali, wypowiadając znaną już formułę. Księża na kazaniach ostro piętnowali „pogański obyczaj” i zachęcali, by przyjść z palmami do kościoła w niedzielę przed Wielkanocą. Po pierwszej wojnie światowej, młodzież nie chodziła już do źródłanych dolin, ale wszyscy zanosili palmy do kościoła. Od tego czasu zaczęły się one zmieniać. Do gałązek wierzbowych, niektórzy dodawali gałązki mirtu, żdźbła trzciny lub innych traw.

Obchody Wielkiego Tygodnia i Wielkiej Nocy w naramskiej parafii nie wyróżniały się niczym specyficznym w stosunku do innych. Nowy akcent w obchodach Wielkiego Tygodnia, pojawił się w Michałowce (wtedy już w Michałowicach III) w latach pięćdziesiątych. Został on przypomniany przez proboszcza młodej michałowickiej parafii – ks. Mariana Pałęgę. To on, jako pierwszy w okolicy, podjął zwyczaj święcenia potraw wielkanocnych, na świeżym powietrzu. Najpierw – przy kaplicy, która była urządzona w remizie strażackiej, stawiano stoły, na nich koszyki i koszyczki do święcenia. Stawiano też na nim duży kosz na dary żywnościowe, dla rodzin biednych. Później, gdy część ludzi przeniosła się do tej parafii z Michałowki, ks. Pałęga przyjeżdżał na miejsce i tutaj, na przygotowanych stołach święcił przyniesione potrawy; tu również wystawiano kosz, dla będących w biedzie. Święcenie odbywało się na podwórku gospodarstwa Lusinów.

W obchodach Wielkiej Nocy nie pojawiały się jednak żadne „pogańskie” naleciałości. Te były wplecione i to do lat 80. XX wieku, w majowe uroczystości maryjne. Równolegle bowiem majówki odprawiane były popołudniami w kościele, a o zmierzchu na wsiach – w tym w Michałowce, pod lipami na rozdrożach. Te w kościele – przetrwały, te pod drzewami już, lub prawie już – odeszły w zapomnienie.

Opowiadała ona, że zupełnie podobnie jak obecnie, od pierwszego dnia maja, zbierali się ludzie – głównie kobiety, młodzież i dzieci – pod przydrożnymi drzewami, nieopodal rozdroży. Do końca XIX wieku uroczystości majowe nie miały charakteru maryjnego, były poświęcone Matce Ziemi lub innej bogini zwanej Matką, Panią, Żywicielką, Panią Żywiółów. Dopiero z początkiem nowego wieku, dawne pieśni i modlitwy, zaczęto przeplatać pieśniami maryjnymi. Do niektórych, spośród dawnych pieśni, dodawano strofy poświęcone Matce Boskiej – Maryi. Wtedy też, pojawiły się na drzewach pierwsze kapliczki z wizerunkiem Maryi Panny.

Uroczystość pod drzewami rozpoczynano pieśnią:

*Chwalcie łąki umajone.  
Góry, doliny zielone,*

*Chwalcie cieniste gaiki,  
Źródła i kręte strumyki.*

*Co igra z morza falami,  
W powietrzu buja skrzydłami,  
Chwalcie z nami Panią Świata,  
Jej dłoń – z nami, wieniec spleta.*

*Ona dzieł wszystkich korona,  
Nad żywioły wywyższona;  
Choć jest Panią naszej Ziemi,  
Nie gardzi dary naszymi.*



Maryjna kapliczka na dębie w Zerwanej.

Pod odśpiewaniu tej pieśni, składano dary. Pod drzewami, pod zrobionym z deszczulek lub słomy zadaszaniem, stał kosz i gliniany dzban. W darze składano, co kto przyniósł: jajko, kromkę chleba, lub podpłomyka zawiniętego w czystą szmatkę, trochę masła w liściu tataraku, kubek mleka. Mleko zlewano do dzbana, pozostałe dary składano w koszu. Podobno dawno temu, zanoszono dary jakiejś kapłance, ale tego już nikt nie pamięta. Później, po uroczystości zabierali je wędrujący żebracy lub komornicy.

Pod złożeniu darów śpiewano inne pieśni – chwalcę Panią, Matkę, Żywicielkę i piękno przyrody. Proszono o siły i opiekę. – *Być może, ktoś ze starszych jeszcze je pamięta* – mówiła Prababka, która zapamiętała tylko tę – kończącą wieczorne spotkanie:

*Gdy trwoga nas ogarnie.  
Matko wspomóż nas;  
I smutek skróć i męczarnie  
Matko wspomóż nas.*

*Matko, o Matko!  
wspomagaj nas,  
nieustannie w każdy czas.*

*Gdy wiarę tracimy żywą,  
Matko wspomóż nas;  
Nadzieję wzbudź prawdziwą,  
Matko wspomóż nas.*

*Matko, o Matko.....*

*Gdy miłość gaśnie w duszy,  
Matko wspomóż nas;  
Niech głos nasz Ciebie wzruszy,  
Matko, wspomóż nas.*

*Matko, o Matko...*

Obie pieśni zostały włączane do pieśni maryjnych, śpiewanych także w kościołach.

Dругa pieśń przetrwała w swym pierwotnym kształcie. Pierwszą – zmieniono nieco (III zwrotka) i dodano nowe słowa (IV zwrotka):

*III. Ona, dzieł Boskich Korona,  
Nad Anioły wywyższona,  
Choć jest Panią.... itd.*

*IV. Wdzięcznym – strumyki mručeniem,  
Ptaszęta – słodkim kwileniem,  
I – co czuje, i – co żyje,  
Niech z nami chwali Maryje.*

W Michałowce, na majówkę przychodzono pod dorodne stare lipy, stojące na pograniczu gospodarstwa Lusi-



Murowana kapliczka w Górnej Wsi.



nów i Misków – u zbiegu czterech dróg, nieopodal stawu. Na jednej z lip wisiał niewielki obrazek Matki Boskiej. Po zachodzie słońca, pod lipami zbierali się ludzie z całej wioski. Tworzył się niepowtarzalny klimat. Witali się ze sobą, rozmawiali, dopóki nie zapadł zupełny zmrok. Z nad stawu dochodził rechot żab. W pobliskich sadach kwiliły pisklęta ptaków, układane do snu. Dobiegały odgłosy szczekających psów.

Opadała wieczorna rosa, niosąc ich głosy. Pachniały kwitnące w sadach drzewa, a później – także bzy, czeremcha, lilie... W takiej atmosferze intonowano: *Chwalcie łąki umajone....*, śpiewano pieśni maryjne, niekiedy Litanię do NMP, i gdy gwiazdy poczęły rozświetlać niebo, kończono majówkę pieśnią – modlitwą: *Gdy trwoga....* Uczestniczenie w obrzędzie, oczyszczało, wносиło spokój i radość. Dawało poczucie niezwykłej więzi z naturą i napełniało energią.

W tym samym czasie trwały majówki w innych miejscach w okolicy. Niedaleko, przy skrzyżowaniu dróg wewnątrz Górnej Wsi, pod murowaną kapliczką przy domu Grzesikowskich, też śpiewano. Śpiewy zbiegały się, wypełniając swym brzmieniem całą przestrzeń. Bywało, że w tym samym czasie śpiewano tę samo pieśń, a ona wzbijała się wysoko w rozgwieżdżone niebo. Po zakończeniu obrzędu, ludzie w ciszy i zadumie rozchodzili się do swoich domostw.

Przypomnijmy: *pierwsze nabożeństwo majowe, odprawili w Polsce jezuita w Tarnopolu – w roku 1838, zaś w Krakowie, zrobił to ks. Zygmunt Golian – 1856 r. „Majówki” przy kapliczkach, zaczęły być popularne w latach 70. XIX w.*

\* \* \*

Na przełom maja i czerwca przypadały Zielone Świątki. W liturgii kościelnej – święto Zesłania Ducha Świętego, ale w jakiejś pradawnej tradycji, trudnej do przezwyciężenia przez kościół, miały one w sobie coś ze starych wierzeń i dawnych religii. Rozpoczęły okres świąt sobótkowych, który kończył się w noc przesilenia wiosno-letniego „wiankami”, czyli nocą poświęconą Kupale, zwaną Nocą Świętojańską. W przeddzień świąt, majono wejścia do domów lipowymi gałęziami, przyozdabiano nimi także inne budynki oraz wozy. Świąta trwały dwa dni. W pierwszym dniu, ludzie szli gromadnie na sumę do kościoła. Po niej, tam gdzie były Ochotnicze Straże Po-

żarne i remizy, odbywały się pokazy strażackie, a po nich festyny. Dzieci i młodzież nieuczestnicząca w festynach, gdy zapadał zmrok, zabierała wcześniej przygotowane sobótki i race. „Sobótki” – były to snopki słomy, zatknięte na wysokich kijach. Race zaś – to kulki, ugniecione z sierści zwierząt, pozyskanej podczas czesania krów lub koni, nasączone substancją łatwopalną – olejem lub naftą, obwiązane drutem, tak by można je było wyrzucać.

Wychodzono w pola, na miedze między łąny rozwiniętego już w kłosa zboża i tam zapalano sobótki i race. Sobótki obnoszono między polami, race rozkręcano na drucie i rzucano między zboża. Magiczny obrzęd ognia miał zapobiegać chorobom zbóż – głównie „czarnej śmieci” (czarna ospa). Miał też gwarantować dobre zbiory. Po obejściu pól, zbierano się w dolinkach, palono ogniska, tańczono i śpiewano. Przynoszono ze sobą także jaja i patelnie. Smażono w nich nad ogniskiem jajecznicę. Była to też noc – psot i figli. Jeżeli jakiś gospodarz nie wstawił wozu do stodoły, lub zostawił w polu sprzęt rolniczy, to na drugi dzień musiał go długo szukać. Bywało, że wozy, pługi ba nawet wychodki, wynoszono wysoko na drzewa i zostawiano je w ich koronach.

Naramski proboszcz, na kazaniach piętnował te pogańskie obyczaje i wzywał do opamiętania się. Ks. M. Pałęga miał do nich nieco inny stosunek – nie można było być zaskoczonym, gdy pojawiał się przy ognisku wśród rozśpiewanej i roztańczonej młodzieży. Ostrzegał jednak, że obrzęd sobótkowy może być niebezpieczny, bo łatwo zaproszyć ogień, a obchodzenie pól z sobótkami, nie zapobiegnie chorobom. Po niedzielnej sumie, wybierał się zatem na święcenie pól. Jeżeli tego chciano, ludzie zbierali się w umówionym miejscu i oczekiwali na niego. Przywożono go bryczką, wraz z kościelnym. Formowała się procesja z krzyżem procesyjnym i chorągwiemi, i wędrowała polnymi drogami wśród upraw. Śpiewano pieśni kościelne, a on kropił święconą wodą poletka żyta i pszenicy.

W Boże Ciało w Naramie i Michałowicach oraz innych wioskach, w których były kościoły, odbywały się procesje. Nigdy jednak nie docierały one do wiosek od kościoła oddalonych.



Rozpalanie ognia, poprzedzała zainscenizowana przez chłopców utarczka lub bójka – wykazująca ich jurność. Kończyła się w chwili, gdy spomiędzy chrustu, zaczynały strzelać płomienie; następował czas wróżb i płaśów wokół ogniska – skakali przezeń chłopcy i pary, mające się „ku sobie”. Przerzucano przez ogień wianki, śpiewano też pieśni o charakterze weselnym, często z seksualnym podtekstem.

W przeddzień Świętego Jana, w domach pleciono wianki z liści kopytnika i z rozchodnika. Poświęcone w kościele – przynoszono i wieszano nad drzwiami domów. Jak wyjaśniała Prababcia, było to echo czasów minionych, którego nie umiano wpleść w święta kościelne. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, tradycja ta zanikła, ale kiedyś dawniej, wianki przygotowywały panienki na wydaniu. Pleciono je tak samo i z tych samych roślin po to, by w noc przesilenia wiosenno-letniego, udać się z nimi nad rzeki, u brzegów których rozpalano ogniska i obchodzono Noc Kupały. Śpiewano przy tym obrzędowe pieśni. W wiankach umieszczano ogień i puszczano je na wody rzeki. Już jednak nikt, łącznie z Prababcią, nie pamiętał ani pieśni, ani obrzędów tej nocy.

Głównym elementem wieczoru, były zaloty, miłość. Wiele śpiewów kierowano do św. Jana Chrzyciela, nazywanego „białym” lub „zielonym Janem”, traktowanego jak ktoś, kto szuka żony, jest młodzieńczym zalotnikiem, a jednocześnie patronem urodzajów (przez nawiązanie do legendy o „Dziecinie Jezus” – który rzucał nasiona roślin z nieba, by je „społem z Janem zasiewać”).

Dziewczęta rzucały wianki na wodę, z nadzieją, że wyłowi je tajemniczy ukochany.

Tradycyjne „Wianki” lub „Sobótki” – o bardzo indywidualnym przebiegu – nawiązujące do dawnej „Nocy Kupały” czy „Nocy Świętojańskiej” – odbywają się także współcześnie, we wszystkich regionach Polski, a także na świecie.

W połowie lipca, w niedzielę tygodnia, w który przypadało święto Matki Boskiej Szkaplerznej – w Naramie odbywał się odpust. Od rana, przed murami kościoła i plebanii, rozkładano kramy ze słodyczami i zabawkami. Tu można było kupić niemal wszystko: cukierki, czekoladki, lizaki na patyku, ciasta i ciasteczka, piszczałki, gwizdki, organki duże i małe, drewniane koniki zaprzęgnięte do wózeczków, koguciki drewniane na kółkach klaszczące skrzydełkami, korkowce, kolorowe piłeczki na gumce wypełnione trocinami, baloniki na druciku, chusty i chusteczki. Wszystko pachniało i mieniło się kolorami.

Na placu przed szkołą ustawiano karuzele: wysoką, motorową z siedzeniami na łańcuchach i drugą mniejszą, z konikami – dla młodszych dzieci. Przy karuzelach grała muzyka.

Tłum ludzi przechodził pomiędzy straganami. Był gwar przepelniony dźwiękami zakupionych instrumentów muzycznych, strzelaniem z korkowców i pistoletów. Kawalerowie starali się podrywać panienki. Tym bardziej, że po południu w remizie strażackiej zaczynała się zabawa, trwająca do rana.

\*\*\*

Gdy zbliżała się połowa sierpnia, zprawiano się na pielgrzymkę do Kalwarii Zebrzydowskiej, na obchody Wniebowstąpienia Najświętszej Maryi Panny, zwanej Matką Boską Zielną. W przeddzień 15 sierpnia kobiety przygotowywały w domach do święcenia ziele. Posyłały dzieci na łąki i do lasu by przyniosły zioła konieczne do wiązanki, którą się poświęca. Wciąż jeszcze pielęgnowały tradycję przekazaną im przez ich babki i matki.

Prababcia opowiadała, że i to święto było kiedyś związane z kultem Matki – Ziemi, zwanej też Matką Zielną.

Zbierano wtedy zioła tak, jak dziś i układano je w wiązki, ale towarzyszyły temu pieśni i obrzędy. Gospodyni domu wychodziła jeszcze nocą boso, ubrana tylko w zgrzebną koszulę, by o świcie być na łąkach i skalistych zboczach. Gdy znalazła się na łące, zbierała zioła, śpiewając:

*Wysłałam o świcie boso  
w czystej i zgrzebnej koszuli.  
Nogi obmyłam rosą  
aby nie kalać ziemi.  
Zioła na łąkach zbieram  
bym była zdrowa, szczęśliwa  
by wszyscy moi zdrowi  
i trzoda moja i przechodzień,  
który zagrode mą odwiedzi.  
W świetlisty bukiet układam  
trawy i życiodajne zioła  
bo w nich jest moja nadzieja  
gdy przyjdzie złe, spokój naruszy.*



Bukiet na „Matkę Boską Zielną”.

Nazbierawszy ziół, wracała z nimi do domu i układając je w bukiet znowu śpiewała:

*Układaj zioła, układaj  
układaj zioła starannie  
układaj zioła pomatu  
mięty, rumianku, dziurawca  
nie żałuj, kobieto, nie żałuj.  
piołunu, wrotyczu dodaj  
dodaj, dodaj gałązkę  
by zioła nie były gorzkie  
lebiody skalistej dołóż  
kłączami perzu obłóż.  
Układaj zioła, układaj,  
układaj zioła starannie  
układaj zioła pomatu.*

Może to dziwne, ale matka Mariana pamiętała jeszcze tę drugą piosenkę i przyśpiewywała ją sobie przy układaniu wiązki ziół, w której obowiązkowo musiały się znaleźć: mięta, rumianek, dziurawiec, lebioda skalista (nazywana lebiodka), krwawnik, gałązka wrotyczu i piołunu, kłącza perzu. Wykonany z nich pękaty bukiet, obwiązywano łykiem z kory wiklinowej. Ziele święcono w kościele, przynoszono do domu i wieszano w suchym, osłoniętym od słońca i deszczu, przewiewnym miejscu. Tam wysychało. Po zioła sięgano w razie jakichś dolegliwości – to po mięte, rumianek czy dziurawiec, w razie kłopotów żołądkowych czy trawiennych; to po odrobinę piołunu, gdy dzieciom nie dopisywał apetyt; to po jeden lub dwa koralikowe kwiatki wrotyczu, przeciw pasożytom. Siegano też po nie, gdy w zagrodzie wycieliła się krowa lub okociła owca. Gotowaną wodę wlewano do wiadra, wrzucano do niej garść wybranych ziół. Gdy napar przestygł, podawano go do picia krowie lub owcy.

Z czasem, kiedy coraz popularniejsze stawały się leki dostępne w aptekach, gdzieś w latach 60-tych, ziele znoszone do święcenia, miało już znaczenie bardziej symboliczne, podtrzymujące tradycję – niż praktyczne. Mniej dbano już o jego skład, a zioła zaczęto zastępować kwiatami, najczęściej z własnego ogródka.

Być może jednak warto przypomnieć, co opowiadała Prababcia o uroczystościach Matki Zielnej: gdy mija-

ła połowa dnia, kobiety wkładały na siebie odświętne stroje, zabierały ze sobą resztki ubiegłorocznych ziół, związane w czystą szmatkę, a także przygotowany bukiet i wędrowały z nimi na Łysą Górę – skaliste wzgórze pokryte ubogą roślinnością. Najbliższe takie miejsce, było gdzieś za Michałowickim Lasem – w kierunku Bibic, ale jeszcze po tej stronie granicy, to znaczy w zaborze rosyjskim. Kobiety musiały dotrzeć tam przed zachodem słońca. Na wzgórzu stał, zbudowany z wikliny szałas i ułożony był stos drzewa i gałęzi na ognisko.

Gdy słońce chyliło się już ku zachodowi i wszystkie kobiety zgromadziły się w kręgu wokół przygotowanego ogniska, z szałasu wychodziła kobieta z długimi, jasnymi i rozpuszczonymi włosami, przyozdobionymi kwiatami, w długiej do ziemi, białej sukni – dzierżąca w lewej dłoni, wysoką zakrzywioną laskę. W prawej zaś rękę, trzymała zapalone łuczywo. Pozdrowiała zgromadzone kobiety i wchodziła do środka kręgu, do ułożonej watry. Gdy słońce zbliżało się do horyzontu – zapalała ognisko, mówiąc:

*Wrzucmy w ogień wszystko co stare,  
nasze bóle, troski i żale.*

*Wrzucmy w ogień uschnięte zioła,  
niech powietrze sobą nasycą.*

*Bukiety wzniesmy nad czoła,  
niechaj niebo nad sobą zobaczy.*

Po tych słowach kobiety podchodziły kolejno do ogniska, rozwiązywały szmatki z resztkami starych ziół i wrzucały je w ogień, po czym wracały do kręgu. W tym samym czasie, prowadząca uroczystość dorzucała do ogniska, przygotowane wcześniej gałązki jałowca, żywiczne gałązki sosny, uschnięte pnącza róży. Gdy powietrze napełniło się ich aromatami, intonowała pieśni, podchwytywane przez zebrane. Śpiewając je, okrążały ognisko, przemienne zbliżając się do niego i okadzając w jego dymie, trzymane w rękę zioła. Po siedmiu okrążeniach, zatrzymywano się. Celebrantka oddalała się na chwilę. Szła do szałasu.

Tam zostawiała laskę i wracała z glinianym dzbanem w jednej ręce, w drugiej miała garść gliny. Podchodziła do ogniska, podnosiła w górę dzban i wąskim strumieniem wylewając wodę w płomień ogniska, mówiła:

*Wlewam w ogień wodę czystą źródlaną,  
Wrzucam w ogień garść ziemi (wrzucała),  
Przywołuję wiatr.*

*Niech się żywioły połączą,  
Niech nasze zioła owioną,  
niech im mocy nadadzą.*

Kobiety wyciągały zioła w kierunku ogniska, z którego unosił się gęsty dym i powtarzały chórem:

*Niech się żywioły połączą  
Niech nasze zioła owioną  
niech im nadadzą moc.  
Niech im nadadzą moc,  
Niech im nadadzą moc.*

Prowadząca, zanosila dzbanek do szałasu, wracała do kręgu z laską w dłoni i intonowała ostatnią pieśń. Była to ta sama, którą kończono uroczystości majowe:

*Gdy trwoga nas ogarnie.  
Matko wspomóż nas.....*

Pod usłanym gwiazdami niebem, przy graniu świerszczy, kobiety wracały do domów.

Swoją drogą, to aż dziwne, że w kościelnym święceniu ziół istnieje pewne podobieństwo do kończącego rytuału tamtego obrzędu. Najpierw ksiądz odmawia modlitwę, później przechodzi przez środek kościoła – krojąc zioła i ludzi wodą, a następnie bierze trybularz z ogniem, sypie kadzidło i ponownie przechodzi przez kościół – okadzając nim.

Ostatnim akordem w rytmie chłopskiego roku były i pozostają dożynki. Jeżeli wierzyć Prababci, to święto, które zrodziło się z wdzięczności ludzi biednych – pańszczyźnianych chłopów. Gdy zakończyły się żniwa, dziedzic pozwalał chłopom na skoszenie i zebranie resztek, czyli pozostawionych tu i ówdzie zbóż oraz na zbieranie kłosów, leżących na polach. Po zbiorze, wyplatali chłopcy wieniec z kłosów i zanosili go panu w podziękę. Później, po uwłaszczeniu, gdy już mieli własną ziemię, po zbiorach składali wieniec wójtowi gminy. Szli do niego z wieniec, w korowodzie, śpiewając piosenki i pieśni. Niektóre z nich przetrwały, między innymi, zaczynająca się od słów: „Plon niesiemy plon....” Po przekazaniu wieńca, urządzano zabawę na świeżym powietrzu. Śpiewano i tańczono. Gdy rozwinął się ruch ludowy, świętu nadano charakter ludowego święta plonów. Dożynki organizowano w każdej gminie. Pleciono zbożowe wieńce, wypiekano chleb z nowych zbiorów i barwnym korowodem, lub na ustrojonych wozach i bryczkach, ruszono do kościoła by wieńce poświęcić. Po poświęceniu, chleb uroczyście wręczano gospodarzowi dożynek, po czym bawiono się



Fotografie z uroczystości dożynkowych (fotopolska.eu), znajdują się w zbiorach muzeum prezydenta I. Mościckiego w Spale.

na zorganizowanym festynie. W okresie dwudziestolecia międzywojennego, zorganizowano pierwsze (1926 i 1927) – ogólnopolskie dożynki prezydenckie, pod patronatem prezydenta Ignacego Mościckiego.

Od wspomnianych czasów minęło wiele lat. Już dobrze wkroczyliśmy w XXI wiek – jak to określa Zygmunt Bauman – w „ponowoczesność”. Michałówka istnieje jeszcze tylko w pamięci odchodzącego pokolenia. Określenie „chłop” – już nie przystoi w stosunku do wielu mieszkańców, którzy przybyli tu z miasta i niewiele wspólnego mają z rolą i rolnictwem. Elektryczność, wodociągi, radio, telewizja, Internet – wywarły poważny wpływ na styl życia, a także na obyczaje. Żyjąc w „globalnej wiosce”, mogąc w parę sekund skontaktować się z ludźmi w odległych zakątkach ziemi, stykamy się wieloma kulturami i religiami – staramy się zachować wartości przekazane przez dziadków i rodziców, bo – jak napisał Konstanty Ildefons Gałczyński w „Pieśniach”:

*Słońce wschodzi i zachodzi,  
drzewa kwitną, liście ronią,  
my strumień rzeczywistości  
kształtujemy naszą dłonią.  
[.....]  
Jesteśmy w pól drogi. Droga  
pędzi z nami bez wytchnienia.  
Chciałbym i mój ślad na drogach  
ocalić od zapomnienia.*

## Gry i zabawy

Dzieci od najmłodszych lat były przez rodziców wdrazane do uczestnictwa w pracach domowych i gospodarskich w polu. Opiekowały się młodszym rodzeństwem. Były odpowiedzialne za sprzątanie pomieszczeń i podwórka, a kiedy podrastały, plewiły w warzywnikach, obierały owoce i to nie tylko na potrzeby domowe, ale także na handel.

Wszystkie te prace musiały umieć pogodzić z obowiązkami szkolnymi, ale nie znaczy to, że nie znajdowały dla siebie chwil na gry, zabawy, wycieczki.

Chłopcy, jak tylko robiła się wiosna, biegali do dolinek, w których rosła wiklina. Ucinali cieńsze i grubsze gałązki. Nacinali korę w kształt piszczałki lub gwizdka. Delikatnie ostukiwali trzonkiem noża lub scyzoryka, aż łozina zaczęła odchodzić od drewna. Ściągali ją tak, by nie uszkodzić. Gdy się to udało, wkładano do rurki z kory wyprofilowane z wyciągniętych gałązek wkładki, tworząc ustnik piszczałki.

Kiedy znudziło im się granie i piszczenie, wybiegali na podwórka, polne dróżki i ścieżki – z fajerkami z pieca i specjalnie przystosowanymi pogrzebaczami, którymi podpierali kółka, by nie upadły i ścigali się – kto dalej dobiegnie. Ci, którzy nabrali wprawy, potrafili nie tylko po prostym, ale i po wertepach pokonywać z kółkiem kilometrowe trasy. Podobne wyścigi odbywano z obręczami od rowerów, popychanych i sterowanych za pomocą krótkiego kijka.

Dziewczynki grały w klasy lub gumy na podwórkach lub skakały na skakankach. Oczywiście bawiły się też lalkami.

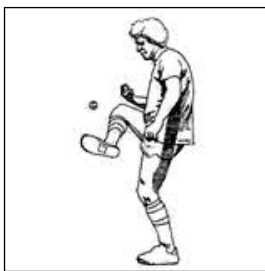


„Kółko reńskie”.

Początkowo były to szmacianki, najczęściej szyte przez matki. Później pojawiły się lalki z plastikowymi główkami i całe z gumy lub plastiku. Te najczęściej kupowano na targowiskach w Krakowie lub na straganach odpustowych przy kościołach.

Były oczywiście gry i zabawy zbiorowe, takie jak: „kółko reńskie”, „budowanie mostów”, „berek”, „chowanego”, „ciuciubabka” czy „dupek”. Zabawa w „kółko reńskie” polegała na tym, że dzieci chwytaly się za ręce i tańczyły w kręgu, śpiewając: *kółko młyńskie, za cztery reńskie kółko nam się rozleciało, wszystkie szprychy połamało, a my wszyscy bęc!* Wszystkie siadały na ziemi, po czym wstawały i powtarzały zabawę do czasu, gdy się zmęczyły lub im się znudziło. Podobnie było z budowaniem mostów. Dwoje dzieci brało się za ręce, stojąc do siebie przodem. Pozostałe stawały w rzędzie, jedno za drugim, obejmując poprzednie za biodra. Tworzący most, podnosili złączone ręce do góry, tak by można było pod nimi przejść i śpiewano: *Jawor, jawor, jaworowi ludzie, co wy tu robicie? – budujemy mosty dla pana starosty; – trzysta koni przepuszczamy a jednego zostawiamy; – na kogo wypadnie, to tego bęc – wtedy ręce trzymających most opuszczają się na głowę przechodzącego pod nim uczestnika zabawy. Zatrzymany wychodził z szeregu i stawał przy tworzących most. Po zatrzymaniu następnego, tworzył z nim drugą parę trzymającą most. I tak trwała zabawa do chwili aż ostatni uczestnik z szeregu został zatrzymany do utworzenia mostu. Inne z wymienionych zabaw znane są do dzisiaj, więc nie trzeba ich opisywać.*

Pośród gier chłopców znana był jeszcze „Haliska”. W grze uczestniczyło minimum dwóch, a maksymalnie czterech zawodników. Do gry służył wystrugany z akcyjowego lub jesionowego drewna równoległociąg o wymiarach 20 x 4 x 4 cm o ściętych na ukos końcach, jak u gumki „myszki”. Na bocznych ścianach były wycięte rzymskie cyfry: I, III, V, X, V i X na bokach, które nie pozwalały wybić Haliski, co dawało możliwość wyrównywania szans w grze. Haliskę układało się na równej powierzchni i uderzało w nią 50 cm kijkiem o średnicy 2 cm w podcięty róg. Wtedy wylatywała w powietrze, leciała i upadała. Odległość od miejsca jej uderzenia do upadku mierzyło się kijkiem i mnożyło przez liczbę, która była na boku ułożonym do góry. Sekretarz zapisywał wyniki na kartce. Jeżeli Haliska upadła szczęśliwie na bok pozwalający na jej ponowne wybięcie, zawodnik grał do chwili,



Pompon (lotka) do gry w „Zośkę” i gra w „Zośkę”.

aż nie upadła na bok to uniemożliwiający. Wtedy podliczano jego wyniki i grę rozpoczynał następny i tak, aż każdy z uczestników nie zaliczył chociaż jednej kolejki. Wygrywającego nagradzano założeniem wianka uplecionego z kwiatków przez towarzyszące grze dziewczyny i nazywano „Haliskowym królem”. Bywało, że niektórzy gdy raz nim zostali, nie tracili tytułu przez cały rok. W latach 60-ch zaprzestano tej gry i mało kto ją pamięta.

Kopali też chłopcy „zośkę”. Zośka był to barwny włóczkowy pompon umocowany do ołowianej, grubej na 3 mm okrągłej płytki z dwoma otworkami na przytwierdzenie drutem pompona. Podbijało się zośkę podbiciem buta, ale także obcasem, lub bokiem stopy. Nie można jej było jednak odbić ani ręką ani główką. Wygrywał ten, kto najdłużej kopał zośkę, bez jej upadku na ziemię. Rekordziści potrafili to robić wręcz w nieskończoność.

Na boisku szkolnym, na lekcjach wf, lub po lekcjach grano: w szczypiorniaka, ubijanego, piłkę nożną, siatkówkę i kosza. Niekiedy, w drodze do domu, grano w karciane oczko.

Ulubionymi miejscami zabaw Mariana były doły i strych. Gdy tylko stopniały śniegi, biegał w doły z oczekiwaniem kiedy zakwitną zawilce i fiołki. Później, kiedy już obeschła ziemia i zazieleniła się trawa, urządzał swoją letnią siedzibę na dębie. Dębów było pare, ale jeden z nich rósł na płaskiej górze, tworzącej niewielką polankę, porośniętą niezbyt wybujałą trawą i mchem. Miał niski pień i rozłożyste konary, tak że łatwo było się na niego wspinać.

Między konarami tego dębu zrobił sobie podłogę z drzwi starej szafy. Nad nią, na gałęziach zawiesił dach, ze snopków słomy, takich jak używało się do pokrycia domów i budynków gospodarskich. Dach był szczelny i nie przeciekał w czasie deszczu, a w dni upalne chronił przed słońcem. Na podłodze ustawił



Domek na drzewie – nie jest to co prawda „domek” Autora artykułu, ale posiada zapewne wiele z klimatu tamtej budowli.

zmajstrowany w warsztacie ojca stolik i ławkę. Urządził też miejsce do spania. Bywało, że rodzice zgadzali się by latem pozostawał tam na noc. Później skonstruował drabinkę, by inni mogli go odwiedzać. Niekiedy przychodzili koledzy, by pograć w kółko i krzyżyk; miasta-państwa-rzeki lub w karty: w oczko, durnia lub wojnę. Bywało, jeżeli czas na to pozwalał szczególnie w niedziele, że siedział tam i czytał, lub uczył się na pamięć jakichś wierszy.

Doły były szczególnym uroczyskiem. Drzewa, krzewy, poszycie tworzyły specyficzny mikroświat, nasycony kształtami, kolorami i zapachami. Tu rosły trawy, których gdzie indziej się nie spotykało, kwitły liczne kwiaty: zawilce, fiołki, ostróżki, stokrotki, konwalia dwulistna. Tu rosły i owocowały borówki i poziomki. Pojawiały się grzyby a wśród nich surojadki. Gdy skończył podstawówkę, siedzibę na dębie rozebrał, ale często pod niego powracał by posiedzieć i podumać. Po latach, gdy już opuścił dom rodzinny i wieś, kiedy gospodarstwo od rodziców przejął brat, miał do niego żal, że wycinając drzewa w dołach, głównie jesiony i dęby – nie oszczędził też tego, szczególnego.

Podobnym uroczyskiem były Skorupowe Doły na Woli Zachariaszowskiej. Niedaleko od nich mieszkał Zbyszek Grudników. Marian często odwiedzał je razem z nim, gdyż ukształtowanie terenu i roślinność były jeszcze bardziej niezwykłe, niż w jego dołach. Znajdowało się tam znacznie więcej rodzajów mchów oraz trawy i kwiaty, które rosły jakby uspięne – półsuche.

W dolince, pomiędzy pagórkami, pulsowało źródło z zawsze krystalicznie czystą i zimną wodą. Poza tym, to miejsce miało swoją tajemnicę. Prababcia opowiadała Marianowi, że Skorupowe Doły powstały na skutek wyrobisk, z których wydobywano glinę.

Podobno kiedyś mieszkali w tej okolicy garncarze, którzy wytwarzali z gliny różnego rodzaju naczynia. Nie wiadomo kiedy i dlaczego opuścili to miejsce, ale podobno długo jeszcze, okoliczni mieszkańcy znajdowali tu ślady starej ceramiki: skorupy potłuczonych garnków, gliniane figurki postaci i ptaków.

Marian ze Zbyskiem starali się odkryć jakieś ślady, potwierdzające tę opowieść – niestety, na próżno.

Tajemnicze, owiane legendą miejsca przyciągały jego ciekawość. Kiedyś, gdy paśł krowy na dzierzawionym od Herjana kawałku ziemi na Pustkach – miejscu, które ponoć zawdzięczało tę nazwę, zamieszkującemu tu ongiś Diabłu Pustkowi, płatającemu tak dziwne figle, że w pobliżu nikt nie chciał się osiedlić.

Przed wielu laty, jakiś gospodarz postanowił jednak zbudować tam dom, ale ledwie strzechę położył, w nocy zerwała się wichura i zmiotła budynek ze wzgórze w głąb Pustkowego Dołu. Brzegi głębokiego jaru porastały akacje, brzozy, leszczyna i tarnina. Dookoła panował mrok, przez który nie przedzierały się promienie słońca. Na dnie głębokiego parowu rozciągało się grzęzawisko, które nazywano bezdnem, bo podobno gdy ktoś się tam zapuścił, ciągnęło ono ku sobie, a jeśli do niego wpadł, przepadał bez śladu i nie można go było wyłowić. Diabeł Pustek potrafił też zgarniać z pól snopki ze zbożem, zaś kopy siana topił w grzęzawisku.

## Postscriptum

*Dobiegły końca Opowieści spod Michałowickiego Lasu.* Ich główny bohater opuścił rodzinną wioskę po ukończeniu szkoły podstawowej. Od tego czasu, najpierw przez większość roku, a później już na stałe – przeniósł się do Krakowa. Odwiedzał dom rodzinny, Michałowkę zwaną już wówczas Michałowicami i ulubiony Las – głównie w wakacje, ale także i później, w studenckich czasach. W ciągu 70. lat czyli od początku opowieści, w okolicach Michałowickiego Lasu zmieniło się niemal wszystko. Z treści tekstu wiadomo już, że wioskę zelektryfikowano, założono w niej wodociągi, za czasów gierkowskich zbudowano drogę – której przebieg został podyktowany nie tyle względami bezpieczeństwa, co wygodą mieszkańców – tak by dotykała wjazdu do każdego domu, choć przecież mogła, przynajmniej niektóre, trochę omijać... Wielu podzieliło ziemię ojców na działki budowlane i wysprzedało je pod budowę domów. Nie uświadczysz już słomianych dachów. Domy są nowoczesne, wyposażone we wszystkie media. Utworzono ulice i nadano im nazwy.

Najpierw, do Górnej Wsi na skraj Michałowic III, zaczął dojeżdżać autobus podmiejski, a później, także drugi – do Naramy.

Przebudową i modernizacją przyczyniono się do zmiany krajobrazu. Nie ma już źródlanej doliny, ani wypływającej z niej rzeczki ... Zniwelowano pagórki i zbudowano rzędy nowych, piętrowych domów.

Wraz z przemianami, zapomniano o wielu dawnych zwyczajach i opowieściach, zaczęto żyć nowym, zbliżonym do miejskiego rytmem...

Po latach powstały wiersze, osnute na wspomnieniach z „michałowickich czasów”...

## AUTOPORTRET

Sad wrodzony w ziemię gliniastą,  
dziecko wychował chuderlawe  
z wszystkimi wadami świata  
rozkochane w każdej wiośnie  
tysiącami czereśniowych kwiatów.

Mój sad zasnął w śniegu  
puszystym,  
skrywając księgę miłowania,  
by oczami stokrotek czytać  
wiersze zielone wiosennemu  
słońcu.

Ławka pod jabłonią  
zna wszystkie wyznania  
siostr chuderlawego chłopca  
i jego sny w ciepłe dni lipcowe.

Wśród drzew zielonych  
pozostawiłem swoje dojrzewanie  
by w każdym roku barwiło owoce,  
wypełniając mięszmem sępki  
kwiatów.

Wszedłem w kadłub brunatnego  
miasta z żółtymi firankami nieba  
nieznośnym chrapaniem  
mechanicznych koni



Dziwożona... może Licho... Pustek miał towarzyszkę, zwaną Licho, która często przybierała postać pięknej kobiety. O zmroku wychodziła na pobliskie drogi, a nawet zbliżała się do wiosek by uwodzić przystojnych młodzieńców. Prowadziła ich do Pustkowego Dołu, w którym znikali bez wieści. Bywało też, że uprowadzała ze sobą dzieci z wioski, które przed nocą nie zdążyły schronić się w domach. Zdarzyło się, że kiedyś... kiedyś... uwiadła przystojnego Jawora, w którym kochały się niemal wszystkie dziewczyny z Michałowki i Górnej Wsi. Wtedy jego przyjaciel Sławek, prapraprzodek rodu Nurków, postanowił go odnaleźć i sprowadzić z Pustkowego Dołu. Zanurkował więc w grzędzawisko i spadał przez sto dwadzieścia pacierzy, aż znalazł się w krainie Pustka. Miał on wspaniały murowany pałac z wieloma komnatami. Pałac otaczały łąki, na których pasły się krowy i owce, prawdopodobnie skradzione gospodarzom z pastwisk. Pastuchami byli tam uwidzeni przez Licho młodzieńcy. W komnatach bawiły się dzieci porwane z wiosek, które nigdy nie dorastały. Długo po komnatach i pastwisku szukał Sławek Jawora, aż w końcu odnalazł go śpiącego pod kopą, prawdopodobnie świeżo zmiecionego z łąki siana. Zabrał go ze sobą i powędrowali z boczem góry, ku otworowi bezdna. Dotarli do grzędzawiska i wypłynęli na powierzchnię. Obmyli się z błota dopiero w źródlanej dolinie i wrócili do wioski. Od tego czasu Sławek nosił przydomek „Nurek” (lub nawet „Błotny Nurek”), który przylgnał do wszystkich jego potomków. Niektórzy twierdzili, że tak naprawdę – Jawor zasiedlał się u jakieś dziewczyny na Kozierowie i stamtąd go Nurek sprowadził – nigdy bezdna nie pokonując... Tak czy owak, przez długie lata ostrzegano by się w okolicy Pustkowego Dołu nie zapuszczać, a dzieci straszono, że za niegrzeczność, nieposłuszeństwo czy zbyt późny powrót do domu – porwie je Licho.

Marian lubił też wędrować – linią graniczną pomiędzy zaborem rosyjskim i austriackim czyli wysokimi miedzami, rozgraniczającymi pola Zakojców od pół Woli Zachariaszowskiej, na której wciąż jeszcze były dobrze zachowane, rozmieszczone w odległości około 50 metrów od siebie kopce graniczne – na Łażnicę. Było to skaliste (jurajskie) wzgórze, stromo opadające nad rzekę rozgraniczającą Wolę Zachariaszowską od Garlicy. Wapienne skały porastała niska, wręcz ascetyczna trawa, wśród której kwitły goździki skaliste, rosły kępki lebiodki, parę rodzajów macierzanki, rozchodnik, przepiękne dziewięciły. Tu można było znaleźć gorczycę i inne zioła, potrzebne w domowej apteczce. Tu posyłała go matka po rozchodnik do wianka i po zioła w sierpniu.

Dość wcześnie opanował jazdę na rowerze, zatem gdy tylko czas na to pozwalał, wtedy sam albo z kolegami: Zbyszkciem Grudnikowym, Zdzyskiem Nurkowym i innymi, wyruszał na wycieczki.



Widok wzdłuż drogi do Naramy (fot. Autora).



Widok w kierunku Zerwany i Niedźwiedzia (fot. Autora).



Widok na Fundamentowe doły i okolice (fot. Autora).



Szosa łącząca Górną Wieś, Naramę i Kozierów – na horyzoncie Owczarski Las (fot. Autora).

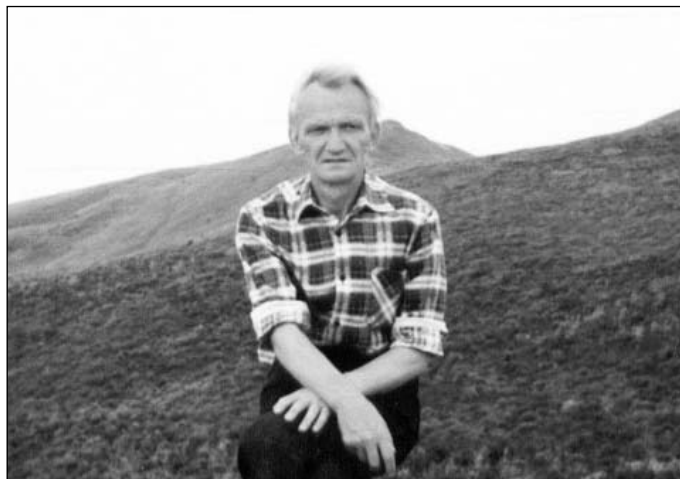
w noc gwiazd przyblakłych dymem  
spalin  
wirującą machinę zdarzeń  
ludzi bliskich i obcych  
plotek wiecznie pijanych  
w narożnych barach  
gdzie za kufel piwa  
można sprzedać każdego mędrca,  
każdy kawał.

### RZEKA

[w cieniu drzew nad Dłubnią]

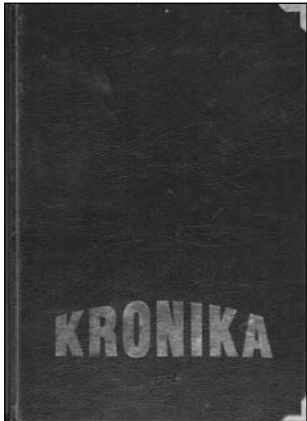
Gdzie bierze swój początek  
gdzie kończy bieg?  
mówią – płynie od źródeł do morza  
lecz przecież musi istnieć i przed  
i za  
inaczej by jej nie było  
zagadka życia – krew ziemi i czas  
bytowanie bytów  
jak twoje przechodzenie w tęczę  
w moim rozmiłowaniu w nurcie  
twojego istnienia.

**Marian Dziwisz** – ur. 1 stycznia 1943 r., we wsi Michałowka (Michałowice) koło Krakowa. Ukończył Szkołę Podstawową w Woli Zachariaszowskiej; Małe Seminarium Duchowne xx Misjonarzy w Krakowie (1961). Wykształcenie polonistyczne zdobył w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie (1966), otrzymując także stopień doktora nauk humanistycznych w dziedzinie filozofii (1980). Był redaktorem i sekretarzem redakcji: miesięcznika społeczno-kulturalnego „ZDANIE” i „PI-SMA LITERACKO-ARTYSTYCZNEGO” w Krakowie. Pracował jako adiunkt w Instytucie Kształcenia Nauczycieli ODN w Krakowie; nauczycielem w V Liceum Ogólnokształcącym, w Zespole Szkół Gastronomicznych Nr 1 oraz w XIX Liceum Ogólnokształcącym w Krakowie. Debiutował na łamach „Nowej Wsi” (1978). Swoje wiersze, oznaczone nazwiskiem Marian S. Dziwisz – publikował m.in. na łamach: „Zdania”, „Okolic”, „Pisma Literacko-Artystycznego”. Wydał tomiki: „Grawitacje” BPL-A, Kraków 1989; „Wędrówka ku niebu”, Kraków 1992; „Bieszczadami natchnione”, Kraków 1998. Jest redaktorem antologii tekstów religioznawczych „Buddyzm”, „Taoizm”, „Judaizm” oraz autorem haseł z dziedziny filozofii i religioznawstwa w „Popularnej encyklopedii powszechnej” – wyd. Fogra, a także tekstów naukowych i popularnonaukowych. Od 2006 na emeryturze.



# Kronika Sieńko – i kronikarze wiejscy

Niedawno, pisanie Kroniki Rodzinnej, ukończyła p. Janina Sieńko – obecnie mieszkanka Michałowic, pochodząca z Więclawic Starych. Historia rodziny obejmuje pokolenie dziadków, rodziców, rodzeństwa, dzieci i wnuków. Autorka – wykonując tę ogromną pracę – sięgnęła po informacje, zawarte w księgach parafialnych i wzbogaciła je własną wiedzą, opartą na wspomnieniach sprzed lat oraz na bieżących wydarzeniach, dotyczących głównie jej dzieci i wnucząt.



Księga Kroniki Rodzinnej Sieńków.

Księgę tę, przepisała wielokrotnie ręcznie, na prośbę dzieci, którym zależało na tym, aby otrzymane zapiski wykonane były „ręką mamy”, nie zaś – powielone metodą drukarską...

Pani Janina pochodzi z bardzo licznej więclawickiej rodziny. Jej ojciec – Marcin Sieńko, syn Tomasza i Marianny z d. Nogiec, poślubił Elżbietę Harmalównę. Ze związku tego urodziło się dziewięcioro dzieci: Józef (1898), Maria (?), Jadwiga (1907), Waleria (1909), Ludwik (1912), Zofia i Stefan (1914), Antonina (1916) oraz Jan (1918). Elżbieta zmarła w wieku 41 lat, kiedy najmłodszy – Jaś, miał niespełna dwa lata. Z końcem następnego roku, Marcin Sieńko ożenił się z młodszą od siebie o 24 lata rodzoną siostrą zmarłej żony – Teklą Harmalówną, która zaopiekowała się osieroconą gromadką, rodząc kolejnych czworo dzieci: Elżbietę (1923), Lucjana (1925), Janinę (1928) – autorkę wspomnianej Kroniki Rodzinnej – oraz Stanisława (1931).

Szczególnym autorytetem w rodzinie, cieszyli się zawsze dwaj starsi bracia p. Janiny – Józef i Ludwik, których sylwetki zostały poniżej przedstawione.

## Józef Sieńko

Józef Sieńko – syn Marcina i Elżbiety (z d. Harmala) Sieńków. Urodzony dnia 4 marca 1898 r., w Więclawicach Starych; ochrzczony nazajutrz w parafii pw. św. Jakuba w Więclawicach; świadkowie tego wydarzenia, to – Franciszek Stokłosa i Marcin Janeczek; chrzestnymi rodzicami byli – Jan Gajoch i Helena Glaz.



Por. Józef Sieńko.

Szkołę podstawową ukończył z wynikiem bardzo dobrym. Ponieważ był bardzo zdolny, rodzice postanowili wysłać go na dalszą naukę do Krakowa. Tam – również z sukcesem – ukończył technikum chemiczne. Wówczas powołano go do wojska, gdzie został zawodowym wojskowym. W tym czasie poślubił Zofię Krasicką, urodzoną w Gródku Jagiellońskim koło Lwowa.

Szybko awansował, osiągając – jako saper – stopień porucznika Wojska Polskiego. Ponieważ posiadał wykształcenie chemiczne, skierowany został do pracy w Państwowej Wytwórni Prochów w Pionkach.

Porucznik Józef Sieńko był jednym z fundatorów sztandaru Katolickiego Stowarzyszenia Mężów w Pionkach.

Wśród pamiątkowych gwoździ, umieszczonych w drzewcu Sztandaru, znajduje się gwoździec z napisem: „por. Józef Sieńko” (w I wojnie światowej walczył jako podporucznik; w okresie międzywojennym był porucznikiem; w konspiracji AK – awansowany do stopnia kapitana).

Prezentowana poniżej fotografia oraz niniejsza informacja, pochodzą z opracowania *Szkice z dziejów Pionek* – str. 177, Tom I – 2000

Z dalszych ustaleń wynika, że por. Józef Sieńko był zastępcą szefa Fabryki Dunitu – inż. Wacława Kumanowskiego. „Dunit” – materiał wybuchowy (obecna nazwa „plastik” lub „C-4”), nazwano tak od nazwiska dyrektora PWP w Pionkach – inż. Stanisława Dunin-Markiewicza.



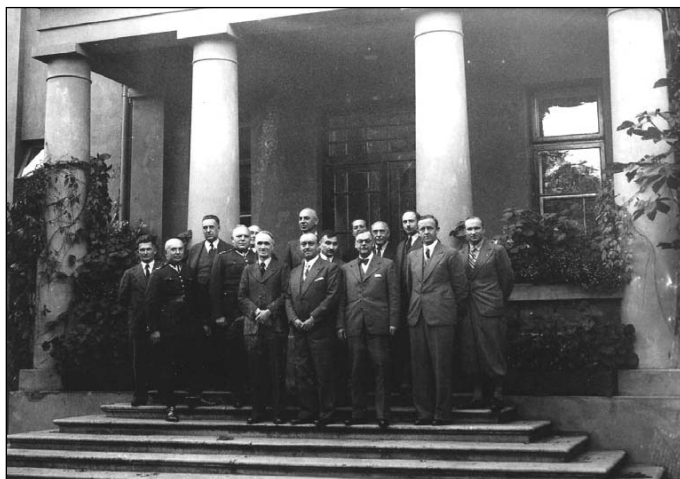
Ppłk Józef Sieńko z rodzeństwem: Janina (z lewej), Antonina (z prawej); dzieci – to Janina i najmłodszy z rodziny – Staś, na tle rodzinnego domu w Więclawicach.



Katolickie Stowarzyszenie Mężów w Pionkach, ze sztandarem. Por. Józef Sieńko w płaszczu wojskowym – stoi po lewej stronie, obok siedzącego mężczyzny z laską w dłoni.

Stowarzyszenie – stanowiło część składową Akcji Katolickiej – zatwierdzone na terenie całej Polski dekretem z dn. 22 lipca 1934 r.; utworzone z myślą włączenia świeckich katolików w apostołstwo hierarchiczne Kościoła Katolickiego, w obronie zasad religijnych i moralnych społeczeństwa; usiłowało budować zorganizowaną, wpływową opinię katolicką dla zwalczania komunizmu, bezbożnictwa i masonerii w całym kraju.

E-encyklopedia



Centralne Laboratorium Badawcze PWP w Pionkach. Fot. – ok. 1935 r. – z muszką pod brodą stoi dyrektor techniczny PWP w Pionkach, inż. Stanisław Dunin-Markiewicz.

Na zachowanej liście płac z sierpnia 1939 r., widnieje wpis: Józef Sieńko zastępca szefa „Dunitu” – pobory 400 zł.

Armia niemiecka, wkraczając do Polski, nie dysponowała takim materiałem wybuchowym. (Od młynów do Prochowni – 2008; str. 196.)

Dnia 6 września o godz. 3.00 rano, opuścili fabrykę pracownicy techniczni i administracyjni, udając się autami, rowerami, wozami do Wąwolnicy, 10 km za Pionkami. W fabryce pozostała ekipa złożona z czterech inżynierów oraz technika – w tym por. J. Sieńki – który przy pomocy pozostałych robotników, dokonali zniszczenia fabryki, zgodnie z otrzymanymi instrukcjami, wzorując się na rozkazie, wydanym dla Fabryki Karabinów (Fabryki Broni) w Radomiu; nakazywał on zniszczyć surowce pochodzenia zagranicznego oraz urządzenia wodne i gazowe, natomiast urządzenia fabryczne, pozostawiono nieuszkodzone. W rzeczywistości, takiego rozkazu Państwowa Wytwórnia Prochu w Pionkach – nigdy nie otrzymała...

z relacji dyrektora technicznego PWP Pionki,  
inż. Stanisława Dunin-Markiewicza,  
z dn. 17 stycznia 1939 r. – Londyn.  
Wrzesień 1939.

Przemysł zbrojeniowy Rzeczypospolitej  
w relacjach i wspomnieniach,  
Str. 122, Wojciech Włodarkiewicz, 2007

Budowę PWP Pionki, rozpoczęto w 1922 r., zaś produkcję – w roku 1925.

Struktura Organizacyjna PWP w Pionkach;

Wydziały produkcyjne:

Fabryka Prochów Bezdymnych,

Fabryka Nitrogliceryny i Materiałów Kruszących,

Fabryka Bawełny Strzelniczej,

Fabryka Dunitu,

Fabryka Czarnego Prochu,

Fabryka Mas Plastycznych,

Fabryka Ferrolitu.

Ważniejsze wydziały pomocnicze:

Centralne Laboratorium,

Elektrownia,

Centralne Warsztaty Mechaniczne,

Stacja Badań Balistycznych.

W roku 1934, na terenie Fabryki Prochów Bezdymnych, utworzona została Stacja doświadczalna Dunitu, podlegająca Centralnemu Laboratorium PWP, w którym prowadzono badania nad technologią wytwarzania nowego saperskiego materiału wybuchowego.

Produkcję doświadczalną uruchomiono w 1936 r. Głównym składnikiem „dunitu” była nitrogliceryna flegmatyzowana parafiną. Proces flegmatyzowania przeprowadzano w Fabryce Bawełny Strzelniczej, na oddziale stabilizacji. Następnie, produkt przesyłano do Fabryki Prochów Bezdymnych, gdzie odbywała się końcowa faza wytwarzania „dunitu”, posiadającego bardzo dobre własności kruszące. W 1938 r. – opatentowano jego produkcję.

W Fabryce Dunitu – wytwarzano 3 tony dziennie tego materiału (75–80 ton miesięcznie).

W 1939 r., Ministerstwo Spraw Wojskowych poleciło PWP w Pionkach, wybudowanie w jak najszybszym terminie fabryki, w której wytwarzano by „dunit” na dużą skalę. Nowa Fabryka Dunitu, składająca się z 12 budynków, powstała w ciągu zaledwie 3 miesięcy – oddana do eksploatacji z końcem czerwca 1939 r. Kierownikiem został inż. Wacław Kumanowski, zaś jego zastępcą – por. Józef Sieńko. Fabryka zatrudniać miała ok. 240 osób (w tym 80% kobiet).

Od młynów do Prochowni – Pionki 2008, str. 166

Tę właśnie fabrykę – wysadził por. Józef Sieńko.



Kadr z filmu *Jarema* 1944 – w reż. Jarosława Szczypióra, przedstawiający Krzysztofa Zajacę, odtwarzającego postać por. Józefa Sieńki. Fotografia pokazuje moment wydawania rozkazu wysadzenia Fabryki Dunitu.

Autorem powyższych informacji jest p. Jarosław Szczypiór z Pionek.

W czasie wojny ukrywał się, angażując jednocześnie w działania partyzanckie. Najgorsze jednak, przyszło po wojnie – był poszukiwany przez komunistyczne władze, aresztowany i skazany na siedem lat więzienia; zwolniony po czterech latach za dobre sprawowanie.

W Leśnicy założył fabrykę pasty do butów, która działała niespełna jeden rok (wcześniej był posiadaczem podobnego zakładu na obrzeżach Lwowa, produkującego pastę głównie na potrzeby wojska).

Po upaństwowieniu, jeszcze przez długie lata, wytwarzano w niej pastę do butów i podług. Jednak UB wciąż deptało mu po piętach – zmienił wówczas nazwisko na „Sieńczak”, zapuścił brodę i przeniósł się do Krakowa, zakładając tu – na ul. Grodzkiej – warsztat szklarski. Mimo to, nie zaznał spokoju – podstępnie wezwany do szkole-



Leśnica – Józef Sieńko przed domem – w którym prawdopodobnie mieszkał – z siostrą Antoniną i NN (fot. 1). Jest to tzw. Willa Maksa Larischa (patrz rys. 2) – przedwojennego właściciela niewielkiej fabryczki smarów i olejów w Leśnicy, przy ul. Dyhernfurtestrasse 24 – obecnie ul. Dolnobrzezka. Ten stuletni zabytkowy budynek zburzono w 2004 r. (fot. 3 – stan przed zburzeniem.) Informacja ta pochodzi od p. Jerzego Mazurkiewicza – miłośnika i znawcy dziejów Leśnicy.



Przed fabryką pasty do butów, prawdopodobnie w otoczeniu pracownic. Jest tu także siostra Antonina, pochylona nad puszkami z pastą oraz w białej bluzce, na tle drzwi.

nia okien, ponownie został aresztowany, przesłuchiwany i torturowany. Po pewnym czasie wyszedł na wolność, co – można powiedzieć – że graniczyło z cudem. Niewątpliwie, nieoceniony wpływ miały na to starania jego żony – Zofii.

Zakład szklarski zlikwidował i podjął pracę w Wydziale Duszpasterstwa Kurii Metropolitalnej w Krakowie, jako opiekun społeczny. Został wówczas odznaczony Krzyżem *Pro Ecclesia et Pontifice* (Dla Kościoła i Papieża).

*Krzyż Pro Ecclesia et Pontifice* jest jednym z wysokich medali Kościoła rzymskokatolickiego, przyznawanym przez papieża w dowód uznania dla zaangażowania w pracę na rzecz Kościoła. Jest szósty rangą, co do starszeństwa odznaczony watykańskich. Ustanowiony przez papieża Leona XIII w 1888.

Wikipedia

Był człowiekiem religijnym, oddanym Bogu – widziałam fotografię, przedstawiającą rekolekcje, prowadzone przez Niego dla studentów w Trzebini. Pisał także artykuły do *Rycerza Niepokalanej* wydawanego w Niepokalanowie.

W roku 1947, wybudował koło domu wiatrak, zasilający za pomocą wiatru akumulator, z którego płynął prąd, oświetlający całe gospodarstwo. Było to pierwsze oświetlenie elektryczne w Więclawicach.

Początkowo wiatraki były wykorzystywane przez ludzi do mielenia ziarna i pompowania wody (w Chinach już 400 lat p.n.e.). Pierwszą siłownię wiatrową zbudował 1888 r.

Charles F. Brush – pionier amerykańskiego przemysłu elektrotechnicznego. Jego firma – Brush Electric, połączyła się w roku 1890 z Edison General Electric Company, tworząc General Electric (GE), który dzisiaj jest jednym z największych koncernów na świecie.

Kilka lat później, Poul la Cour, energię elektryczną uzyskaną z siłowni wiatrowych wykorzystał do procesu elektrolizy, z którego otrzymał wodór, służący mu do oświetlenia prowadzonej przez siebie szkoły.

Jeden z jego pierwszych studentów – inż. Johannes Juul, został w 1950 r., pierwszym konstruktorem siłowni wiatrowej z generatorem prądu przemiennego. W 1957 r. – zbudował na wybrzeżu Gedser w Danii elektrownię wiatrową, której założenia techniczne do dziś uważane są za nowoczesne.

W latach 60. XX w., budową takich elektrowni zajmowali się głównie pasjonaci – dominowały konstrukcje o mocy 15 kW. Przemysł zainteresował się tym problemem na początku lat 80.; w latach 90. – pojawiły się urządzenia, produkujące energię na skale przemysłową. Największa siłownia – Enercon E-112, produkuje energię o mocy 4,5 MW, a wysokość wieży wynosi 124 m.

Wikipedia

Józef Sieńko zmarł nagle w wieku 81 lat (8 marca 1979 r.); pochowany – wraz z żoną Zofią (zm. 13 czerwca 1995 r.) – w grobowcu rodzinnym na cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

## Ks. Ludwik Sieńko

Ks. Ludwik Sieńko – syn Marcina i Elżbiety (z d. Harmała) Sieńków. Urodzony dnia 15 stycznia 1912 r. w Więclawicach Starych i ochrzczony tamże w parafii pw. Św. Jakuba, 28 stycznia t. r.; świadkami tego wydarzenia byli – Franciszek Stokłosa i Marcin Janeczek, a rodzicami chrzestnymi – Jan Gajoch i Helena Glaz.



Ks. Ludwik Sieńko – fotografia młodzieńcza.

Szkolę podstawową ukończył z wynikiem bardzo dobrym; jakiś czas pozostał w domu, by utwierdzić się w swoim powołaniu. Do seminarium przy Zgromadzeniu Księży Misjonarzy wstąpił w Wilnie – dnia 1 października 1932 r., a po dwóch latach złożył śluby misjonarskie; następnie rozpoczął studia filozoficzne i teologiczne w Instytucie Teologicznym w Krakowie. Święcenia kapłańskie otrzymał z rąk ks. bpa Stanisława Rosponda, dnia 1 maja 1941 r., w krakowskim kościele misjonarskim na Stradomiu. Prymicyje miały miejsce w rodzimej parafii pw. św. Jakuba Apostoła w Więclawicach. Była to wielka uroczystość, tak parafialna, jak i rodzinna. Zjechali licznie także księża z okolicznych parafii.

Przez pół roku (1940), był wikariuszem i katechetą w Jezierzanach w archidiecezji lwowskiej, a przez kolejne cztery lata – wikariuszem w sanktuarium w Milatynie Nowym k/Lwowa.

Kronikarskie zapiski p. Janiny, uzupełnia syn – p. Stanisław Sieńko, który niedawno odwiedził te strony i rozmawiał z tamtejszym „batuszką”... w 1942 roku z inicjatywą ks. Ludwika nad bramą wjazdową na teren kościelny,



Prymicje ks. Ludwika Sienki – siedzi w środku; z jego prawej strony – ojciec; z lewej – proboszcz wieclawicki ks. Michał Wroński; trzeci od prawej – stoi ks. A. Bayer.



Prymicje ks. Ludwika Sienki – siedzi w środku, między ojcem, a jego drugą żoną Teklą. Obok Tekli – ks. Michał Wroński, proboszcz wieclawicki; nad nim – Janina; nad Teklą – Jadwiga; nad Jadwigą – Jan; z prawej strony księdza Ludwika – Waleria; z lewej – Zofia z dzieckiem; ojciec trzyma Stanisława; przed ks. Ludwikiem – syn Walerii; babcia trzyma syna Jadwigę; obok ks. M. Wrońskiego (ucięty) ks. A. Bayer; na tle okna – z białym kołnierzykiem (z lewej) – Antonina; z lewej strony zdjęcia – obok księdza, trzymającego rękę „za pazuchą” – stoi Józef.

zawieszono napis – *TO DOM BOŻY a BRAMA NIEBIOS* – z charakterystycznym ukraińskim „a”, zamiast polskiego „i”.

Tam – w czasie II wojny światowej, uratował – wynosząc z pożaru kościoła, wznieconego przez bandy UPA – słynący łaskami obraz Pana Jezusa ukrzyżowanego.

Wówczas, po wyniesieniu z kościoła, zakopano obraz ów w stodole, u Polaka – Wardyńskiego, któremu wraz z rodziną udało się szczęśliwie uciec z Milatynia. Po latach, losy syna Wardyńskiego, splotły się zawodowo ze ścieżkami siostrzeńca ks. Ludwika – p. Stanisława Sienki, któremu opowiedział o dalszej drodze wspomnianego obrazu. Otóż, obiekt ten, zawieszony później przez ks. Ludwika do kurii we Lwowie, trafił następnie do Krakowa, gdzie wystawiony jest w jednej z naw kościoła pw. św. Wincentego á Paulo w Krakowie – Kleparzu.

W 1944 r., podpalono w Milatynie zabytkowy budynek plebanii, która w tym stanie pozostała do dnia dzisiejszego. Kościół przekazano cerkwi prawosławnej – grekokatolickiej czy ukraińskiej. Wisi w niej kopia ocalonego obrazu. Sprawujący tu posługę „batuszka”, ma świadomość faktu uratowania go przez byłego księdza katolickiego – Ludwika Sienkę. Kościół, po czasach komunizmu, kiedy to pełnił rolę magazynu ziemniaków i kapusty, podźwignięto z ruiny i w 1992, odnowiono i przystosowano do wymogów cerkwi prawosławnej.

Od 1950 – pełnił ks. Ludwik rolę ojca duchownego w Wyższym Seminarium Duchownym diecezji Gorzowskiej, a następnie – w Biskupim Seminarium Duchownym Diecezji Gdańskiej w Gdańsku-Oliwie, wykładał teologię pastoralną, homiletykę i socjologię.



Ks. Ludwik Sienko.

Dziesięć lat później, powołany został na stanowisko proboszcza parafii św. Wincentego á Paulo w Bydgoszczy, gdzie pracował do 1980 r; wówczas – ze względu na stan zdrowia przeniesiony do parafii Św. Krzyża w Warszawie – jako rezzydent służył wiernym, zwłaszcza w konfesjonale.

Okres pracy duszpasterskiej ks. L. Sienki w Bydgoszczy (był także przełożonym bydgoskiej wspólnoty Zgromadzenia Księża Misjonarzy) – to lata najintensywniejszych prac budowlanych wokół i wewnątrz bazyliki (którą do tej godności podniósł w roku 1977, papież Jan Paweł II). Większość głównych elementów wystroju świątyni, pochodzi z tego właśnie okresu. Ks. Ludwik Sienko – wrażliwy na piękno, był z zamiłowania poetą – pisał teksty pieśni, wierszy okolicznościowych, tworzył także własne utwory muzyczne, m.in. *5 – głosową Msze Świętą polską* oraz kantaty ku czci św. W. á Paulo.

Ksiądz Ludwik Sienko zmarł w Warszawie 25 września 1985 r. – pochowany został w Bydgoszczy na cmentarzu parafialnym, w grobowcu księży misjonarzy.

Na wniosek parafian i mieszkańców miasta, Rada Miasta Bydgoszczy podjęła w dniu 27 września 1993 r. uchwałę, nadającą imię ks. Ludwika Sienki – ulicy, łączącej Rondo Ossolińskich z ulicą Ogińskich.

W tym samym roku, w nawie bazyliki wmurowano tablicę pamiątkową, poświęconą temu wieloletniemu, zasłużonemu proboszczowi.



W czasie koncertu zatytułowanego „Błogosławieni miłosierni” – który odbył się w Filharmonii Krakowskiej 11 maja 2010 r., w ramach obchodów 350 rocznicy śmierci św. Wincentego á Paulo – wykonano kantatę ku czci tego świętego – autorstwa ks. L. Sienki, z muzyką Henryka Nawotka.

## INNE KRONIKI...

Obecnie – od siedmiu już lat – pisze swoją Kronikę Więclawic, mieszkańiec tej miejscowości, Zenon Bednarczyk. Robił to również jego nieżyjący już brat – Józef (mianowany niegdyś „kronikarzem wiejskim” – o czym poniżej).

– *Opisuję* – powiada p. Józef – *jak wyglądała wieś za mojej pamięci, zachodzące w niej przemiany, życie codzienne mieszkańców. Opisywane wydarzenia, sięgają do pierwszych lat po II wojnie światowej. Autor nie udostępnia do wglądu na razie swojego dzieła, kontynuując wszakże pracę nad nim.*

## Kronikarze wiejscy

Niewielu już pewnie mieszkańców tych stron pamięta o tym, że – w roku 1966 Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Michałowicach, powołało Kronikarzy Wiejskich, którym wręczono Kroniki oraz udzielono wytycznych, określających formę i metodę prowadzenia Kronik.

Lista Kronikarzy Wiejskich z terenu gm. Michałowice:

Tadeusz Walczak – Górna Wieś  
Witold Drobnik – Kozierów  
Emilia Moryś – Kończyce  
Zdzisław Godziejewski – Kończyce  
Anna Garus – Książniczki  
Edward Zawalonka – Masłomiąca  
Zdzisława Kawula – Michałowice II  
Jan Niemiec – Młodziejowice  
Maria Krzyworzeka – Pielgrzymowice  
Tadeusz Rumian – Raciborowice  
Piotr Mól – Sieborowice  
Józef Bednarczyk – Więclawice Dworskie  
Jan Szymacha – Więclawice Stare  
Zenon Kuchta – Wilczkowice  
Stefan Czarnecki – Wola Więclawska  
Piotr Wiechowicz – Zagórzycy Dworskie  
Mieczysława Franczak – Zagórzycy Stare  
Brunon Patola – Zerwana  
Wacław Piwowarczyk – Zdzieszawice

W dokumencie czytamy:

(...) Kronikarze podjęli wspólnie dzieło – ujęcia wydarzeń z życia mieszkańców wsi, prawie na miarę historyczną.

Z doświadczeń minionych pokoleń i z ich dorobku, korzystać będzie zawsze nowe, młode pokolenie.

Wskazane więc jest pisanie kronik wiejskich na bieżąco, uzupełnianie nowymi zapisami dla pełnego obrazu przemian, które w życiu wsi dokonują się aktualnie – nie zawsze ze świadomością mieszkańców.

Wytyczne dla kronikarza wiejskiego:

Kroniki wiejskie prowadzą kronikarze wyznaczeni przez prezydium gromadzkie rad narodowych, spośród osób dających gwarancję należytego wykonania tego szacowanego obowiązku (nauczyciel, bibliotekarz, pracownik biura gromadzkiego lub innej jednostki, działacz społeczny).

Kronikę prowadzi się dla każdej wsi oddzielnie, w ozdobnie oprawnej księdze na kartach z bezdrzewnego papieru, obustronnie, z marginesem szerokim na 3 cm. Margines służy do zapisywania daty wydarzenia z określonego tytułu.

Każde wydarzenie zapisuje się w oddzielnym ustępie z odstępem około 3 cm. Nie można w jednym ustępie opisywać kilku problemów.

Na karcie tytułowej (pierwszej lub drugiej) Kroniki, umieszcza się tytuł, np:

„KRONIKA WIEJSKA”  
w KRYSPINOWIE  
gromada LISZKI  
powiat KRAKÓW

Na dole tej karty wpisuje się: Nazwisko i imię kronikarza, stanowisko w zawodzie – tytuł naukowy i dokładne miejsce zamieszkania, tj. wieś – nr domu – poczta.

Kronika wiejska obejmuje ważniejsze wydarzenia wsi w jej granicach terytorialnych. Zapisu dokonuje się bezpośrednio w księdze po każdym wydarzeniu lub na pojedynczych kartkach (na brudno), aby 2 razy w roku dokonać wpisu w księdze, w oparciu o dokumenty osób wiarygodnych, legendy oraz własne spostrzeżenia.

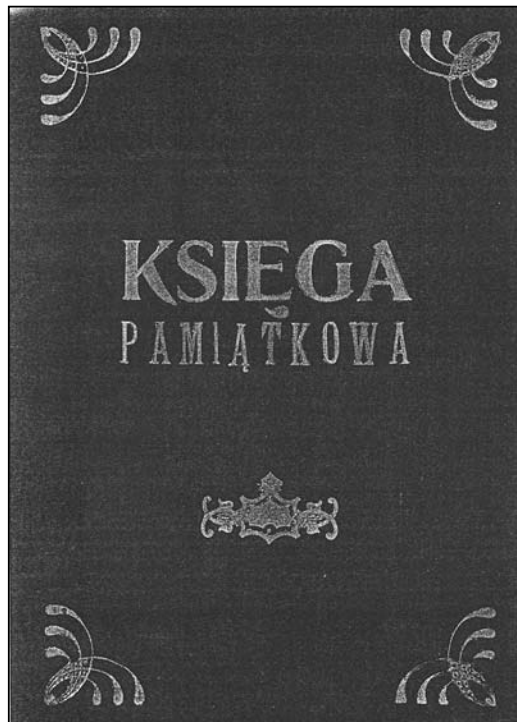
Tu, następuje długa lista szczegółowych wytycznych, dotyczących historii okolicy, życia codziennego mieszkańców wsi – z opisem gospodarstw, sprzętów użytku codziennego, zajęć gospodarskich, stanu posiadania i źródeł zarobkowania, rodzaju zabudowań, działalności organizacji na opisywanym terenie, zabytków, znajdujących się we wsi e. c. t., e. c. t...

Zaleca się także opisywanie imprez z okazji świąt i rocznic oraz ważniejszych zebrań wiejskich, sesji gromadzkich, spotkań radnych i postów z wyborcami.

Szczególnie zachodzi konieczność zwrócenia uwagi na fakty, które posłużą do oceny stosunków społeczno-ekonomicznych, politycznych i ustrojowych w Polsce szlacheckiej, pod rządami zaborców oraz w Polsce kapitalistycznej – w porównaniu ze zdobyczami ustroju kapitalistycznego.

Z fragmentów zachowanej korespondencji, prowadzonej przez Sekretarza Prezydium M.R.M. w Krakowie – Waleriana Rosę wynika, że nie bardzo mógł liczyć na solidne wywiązanie się z tego zadania przez wytypowanych kronikarzy. Świadczą o tym liczne upomnienia i słowa zachęty do kontynuowania pracy.

Swoją drogą, ciekawe – ile spośród dziewiętnastu Kronik wiejskich, przetrwało do dnia dzisiejszego...



Kronika wiejska z Więclawic – Piotra Mola.

Opracowała Elżbieta Kwaśniewska





Najstarsze zachowane fotografie z albumu rodziny Banasiewiczów.

Rodzina Banasiewiczów udostępniła plik starych fotografii, w których zapisana jest poniekąd jej historia – niestety, niewiele osób można już dziś na nich rozpoznać. Zachował się też Wyciąg z księgi ludności, sporządzony 1930 r. Wymienia on seniorów rodu – Ignacego (ur. 1878) i Mariannę z Masaczeńków (ur. 1884) Banasiewiczów oraz ich sześcioro dzieci: Stanisława Józefa (ur. 1907), bliźnięta – Antoniego i Leokadię (ur. 1912), Ignacego (ur. 1915), Romana (ur. 1917) i Bolesława (ur. 1921).

## ...a papier wszystko przyjmie... rzecz o zawłościach pism urzędowych...

### Protokół

Spisany w dniu 9 czerwca 1968 roku w miejscowości X, gromady Michałowice, powiatu Krakowskiego w mieszkaniu ob. Jana Kowalskiego, syna Mieczysława przez Przewodniczącego Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Michałowicach ob. Nowaka Stanisława.

Ob. Kowalski Jan będąc w podeszłym wieku, liczący 77 lat i w obawie przed mogącą nastąpić niespodziewaną śmiercią w dniu dzisiejszym wezwał Przewodniczącego Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Michałowicach ob. Nowaka Stanisława w celu sporządzenia testamentu.

Przewodniczący Prezydium GRN ob. Nowak Stanisław po przybyciu na miejsce stwierdził i naocznie przekonał się, że spadkodawca ob. Kowalski Jan jest zupełnie zdrowy na umyśle i zdolny do działań prawnych. Następnie spadkodawca ob. Kowalski Jan zgodnie z art. 80 par. 1 prawa spadkowego w obecności dwóch świadków zdolnych do działań prawnych a to 1) Gajowy Mieczysław syn Jana 28 lat liczący 2) Biernacki Jerzy syn Tadeusza 23 lata liczący, obaj zamieszkali w X GRN Michałowice, poczta Więclawice, pow. Kraków podyktował do niniejszego protokołu następującej treści

### Testament

Jestem właścicielem gruntu o pow. 7,6 ha w 16 kawałkach. Na jednym z tych kawałków są zabudowania. Dom murowany kryty dachówką, stajnia murowana kryta dachówką. Koło domu rosną 3 drzewa owocowe. Z inwentarza żywego posiadam jedną krowę czarno-białą lat 7 liczy. Nie posiadam żadnego inwentarza martwego. Posiadam następującą rodzinę: żonę Marię z domu Krzak, córkę Anielę zamężną Kwiatek, córkę Ewę zamężną Wiśniewska, córkę Emilię zamężną Białko, zamieszkałą w Radomiu.

Całym wyżej opisanym majątkiem na wypadek mej śmierci rozporządzam w następujący sposób. Córce Anieli Kwiatek i mężowi jej Janowi Kwiatek zam. we wsi X nr 123, poczta Więclawice GRN Michałowice, pow. Kraków wydzielam na własność 4 ha 52 ary oraz wyżej wymienione zabudowania jak dom mieszkalny i stajnie i znajdujące się koło domu drzewa.

Córce Ewie Wiśniewskiej zamieszkałej w X nr 63, GRN Michałowice, poczta Więclawice, pow. Kraków przeznaczam na własność 2,24 ha ziemi, którą już użytkuje od chwili wyjścia za mąż. Córkę Ewę odpowiednio wywianowałem i nie może rościć żadnej pretensji że jej więcej nie daję. Niczym córki Ewy nie obciążam.

Córkę moją Anielę obowiązam do spłacenia schedy 84 ary równowartości ceny wolnorynkowej jaka może być u mej kolonii córce mej a jej siostrze Emilii Białko za dwa lata po mej śmierci. W razie niewypłacenia schedy ma oddać w jej posiadanie 84 ary gruntu. Córce Emilii nic więcej nie przeznaczam, gdyż wcześniej została przeze mnie obdarowana, wywianowana oraz nakładałem na jej wykształcenie.

Córkę Anielę i męża jej Jana zobowiązuję do utrzymywania mej żony Marii a jej matki. W budynku mieszkalnym mieszkanie południowe środkowe przeznaczam dla mej żony. Ponadto w stajni pomieszczenie dla kur wspólne użytkowanie podwórka, korzystanie ze studni. Przeznaczam jej na utrzymanie 400 kg pszenicy zdrowej, czystej, jedną tonę węgla lepszej jakości i potrzebną ilość drzewa na podpalenie w piecu. Zobowiązuję ich też w razie choroby mej żony aby otoczyli ją opieką lekarską i ponieść koszt z tym związane. W razie choroby lub słabości ma ją do kościoła zawieść i z kościoła przywieść. Na wypadek śmierci mają pochować mą żonę według zwyczaju panującego w tutejszej parafii. Krowę wymienioną na wstępie przekazuję mej żonie. Ponadto ziemniaków przeznaczam dla mej żony 400 kg (czterysta kg).

Z wyżej wymienionej kolonii sprzedałem działkę budowlaną o pow. 0,84 ha w jednym kawałku Machnik Justynie i Janowi małżonkom w roku 1958, powyższą działkę użytkują osobiście lecz nie mają rejentowanego użytkowania, a podatek przychodzi na mnie. Umówioną cenę pobrałem i nie mam do nich żadnych pretensji.

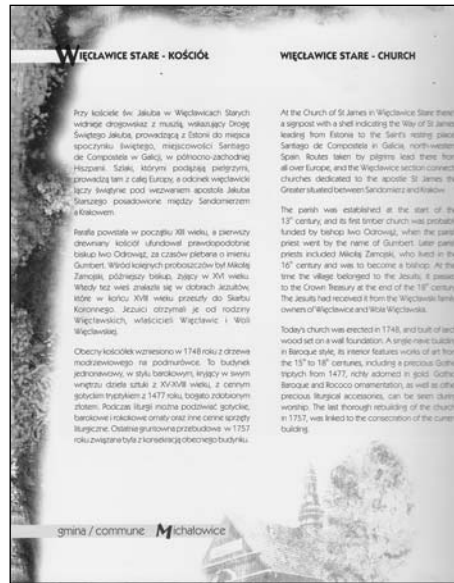
Taka jest moja ostatnia wola.

Na tym testament zakończono, odczytano i podpisano przez testatora, dwóch świadków i Przewodniczącego GRN ob. Nowaka Stanisława.

imiona i nazwiska zmieniono  
zachowano oryginalną pisownię i interpunkcję.

Opracował Jarosław Sadowski

Pod auspicjami starosty krakowskiego – Józefa Krzyworzeki, także w bieżącym roku – wydano album pt. WĘDRÓWKI SENTYMENTALNE, w którym – wśród wielu zabytków z terenu powiatu krakowskiego – odnajdujemy stronie poświęcone XVIII-wiecznemu kościołowi pw. Św. Jakuba Apostoła Starszego w michałowickich Więclawicach. Autorką grafiki – wykonanej w technice gumy chromowanej – jest Dagmara Kwiatek, zaś tekst opracowała Elżbieta Tomczyk-Miczka.



Również Stowarzyszenie Korona Północnego Krakowa, w wydawanym przez siebie – od roku 2011 – kwartalniku LOKALNOŚCI, zamieszcza interesujące artykuły, związane z historią michałowickiej ziemi.



2 HISTORIA, TRADYCE, ZWYCZAJE

### MICHAŁOWICE W ŚREDNIOWIECZU wielka i zamożna wieś bóżgrobców z Miechowa

Dobre gleby, bliskość rzeki i sąsiedztwo Krakowa były najważniejszymi czynnikami powstania i rozwoju średniowiecznych Michalovic, stanowiących osadę, nadaną przez księcia na początku XII w. rycerskiemu rodowi Awadów, a od końca tego stulecia będącej własnością klasztoru bóżgrobców w Miechowie. Do jej rozwoju przyczynił się również przebieg drogi. Wprawdzie „droga wielka”, łącząca Kraków z Mazowszem, omijała Michalowice, biegła bowiem przez Książniczkę, Zdzięławicę, Więclawicę, Sieborowice, Poskwitów, Goszczę i stamtąd do Słomnik, ale obok niej powstała droga przez Michalowice, łącząca Kraków bezpośrednio z Miechovem. Przeważała przez Więclawicę i Węgrzyn, Bibice, Michalowice, Wilczkowice i Biskupce prosto do miasta bóżgrobów (tam łączyła się z „drogą wielką”). Najstarsza wczesnośredniowieczna osada na terenie Michalovic znajdowała się przy początku drożki prowadzącej na „Gródek”, na skłonie wznoszącego się nad dolinę Dłubni. Na podstawie powierzchniowych znalezisk (wykopalski, niestety, nie przeprowadzone) datuje się jej funkcjonowanie na VII-X w., przy czym archeologicznie są pewni początki osady. Można jednak sądzić, że osadnictwo w Michalovic sięga okresu przedpiastowskiego, a tym samym, że jest to jedna z najstarszych wsi pod Krakowem. W dołżym średniowieczu (XIII-XVw.) osadnictwo rozwijało się, jak świadczą powierzchniowe znaleziska archeologiczne, także na samym „Gródku”, na północnym skłonie wzgórza, oraz przy rozwidleniu drogi na Żerwaną i Wilczkowice. Należy sądzić, że archeologiczne ślady osadnictwa średniowiecznego znalazłyby się także w innych rejonach Michalovic, przede wszystkim

28 INICJATYWY LOKALNE

### Krótką historią Koła Gospodyń Wiejskich z Zagórzyc

W 1965 roku powstało w Zagórzycach Koło Gospodyń Wiejskich. Założycielką była miejscowa nauczycielka, Aniela Wiechowicz, sekretarzem koła została Mirosława Trzaska. Początkowo koło liczyło 80 osób. Pierwsze spotkanie odbyło się w Klubie Rolnika, w domu Państwa Kotłowskich. W późniejszym czasie, staraniem pani Anieli, uzyskano salę w miejscowej szkole; zakąpekny został pierwszy sprzęt oraz naczyńia. Nawigowała się współpraca z OSP, która trwa po dzień dzisiejszy. Później, w miejscowym kierunku szkoły, utworzył z członkin KGW zespół śpiewaczy, niestety działalność zespołu była krótką.

Po Anieli Wiechowicz, przewodniczącymi koła były: Danuta Kawula, Barbara Bielecka, Antonina Janas, a obecnie jest nią Celina Śliwińska. – Na początku istnienia naszego stowarzyszenia sprawała się do rozpoznania potrzeb i potrzeb mieszkańców. Od początku istnienia koła wypracowałyśmy zasady stowarzyszenia mieszkankom. Emilia Noga prowadziła księgowość i kasy koła. Gospodynie brały udział w różnych konkursach np. pięknie i nowoczesnie wioś, nahladujemy ogrody itp. – wspomina Celina Śliwińska.

W latach 70-tych wioś ogólna życiem, gdyż mieszkanki brały udział w czynach społecznych takich jak: budowa drogi przez Sławkę (w 1965 roku), czy budowa

2 HISTORIA, TRADYCE, ZWYCZAJE

### Książniczki w średniowieczu Wieś zamożna – finansowa podpora profesorów Uniwersytetu

Jedni zestawimy obok siebie pierwsze wzmianki źródłowe o Raciborowicach i Książniczkach, obu położonych nad Dłubnią, niedaleko Krakowa, to na pierwszy rzut oka wydaje się, że Raciborowice, odnotowane już w 1212 r., są znacznie starsze, niż Książniczki. Te zaś zostały odnotowane po raz pierwszy dopiero w 1382 r., co jest, jak na dokumentację wsi podkrakowskich, wzmianką dość późną. Sprawa polega jednak na pewnym przypadku – w 1382 r. była to sądzia sprawa o podziale, w której musieli się stawiać chłopcy z Książniczek, a wcześniej dokumenty po prostu zaginęły. Wśród nich były najważniejsze, a mianowicie nadanie wsi na własność kolegiaty św. Floriana oraz akt lokowania na prawie niemieckim. Najstarsze osadnictwo w Książniczkach rozwinęło się najpierw na łagodnych wzniesieniach na lewym brzegu Dłubni, tam gdzie dziś znajduje się dwór i okolice posesji. Wzniesienia te charakteryzowały się doskonałymi glebami. Były na tyle wysoko położone, że nie groziły im wylewy rzeki. Te walory dostrzegali osadnicy w pierwszych wiekach istnienia średniowiecznego państwa polskiego. Wył „ludzi księstwa”, co możemy wyrazić w naszym wioś. W pierwszej zapisce źródłowej z 1382 r. użyto formy „Namić”, a w 1416 r. zapisano „Namsznicze”. Te przykłady, jak i dziesiątki innych, wskazują, że w średniowieczu używano tylko formy „Książniczki” (drobniactwa forma dzisiejsza pojawiła się po raz pierwszy dopiero w 1827 r.). Podobne nazwy występowały także w innych rejonach średniowiecznej Małopolski. Jest mianowicie Kolaż, są wioś Książnicze Wielkie i Małe. Jedną z nich, zapisaną jako „Kneginiczki”, była jeszcze pod koniec XI w.



Fotografie na okładkach – z cyklu: *Pięknie na Michałowickiej Ziemi* – wyk. E. Kwaśniewska  
Fotografia główna na I str. okładki – Marian Dziwisz

SPONSOREM WYDANIA JEST WÓJT GMINY MICHAŁOWICE



Wydawca: STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ ZIEMI MICHAŁOWICKIEJ „NAD DŁUBNIĄ”  
32-091 Michałowice, ul. Jana Pawła II 1, tel./fax 12 388 50 16, [www.michalowice.malopolska.pl/spzm/](http://www.michalowice.malopolska.pl/spzm/)  
Redaktor wydania i koncepcja graficzna: Elżbieta Kwaśniewska.  
Kolegium Redakcyjne: Teresa Bednarczyk, Marian Dziwisz, Jarosław Sadowski, Janina i Stanisław Sierńko.

KWARTALNIK REDAGOWANY JEST SPOŁECZNIE.

Przygotowanie do druku i druk: Wydawnictwo „Czuwajmy”, 32-091 Michałowice, ul. Ks. M. Pategi 41, tel./fax 12 388 53 80

